



WŁADYSŁAW ST. REYMONT

*Ziemia
obiecana*

*Ziemia
Lobiecana*

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

Ziemia obiecana



Tekst *Ziemi obiecanej* Władysława St. Reymonta na podstawie edycji zamieszczonej w serwisie Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl; CC BY-SA 3.0)

Przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska

Korekta: **zespół Wydawnictwa SBM**

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Zdjęcia na okładce: główne (front) – ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego, pozostałe – Dreamstime.com: © Siloto, © Kittasgraphics, © Olga Lepeshkina

© Copyright for the cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2021

Warszawa 2021



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.

ul. Sułkowskiego 2/2

01-602 Warszawa

www.WYDAWNICTWO-SBM.pl

ISBN 978-83-8222-296-8

Spis treści

Tom 1

I	9
II.....	17
III	33
IV.....	64
V	69
VI.....	107
VII	129
VIII	142
IX.....	169
X	191
XI.....	210
XII	241
XIII	257
XIV	279
XV.....	295
XVI	304

Tom 2

I	321
II.....	361
III	378
IV.....	403
V	411
VI.....	421
VII	438
VIII	450
IX.....	458
X	465
XI.....	481
XII	493
XIII	498
XIV	509
XV.....	516
XVI	535
XVII	549
XVIII.....	555
XIX	561
XX.....	569
XXI	574
XXII.....	585
XXIII.....	590

Tom 1

I

Łódź się budziła.

Pierwszy wrzaskliwy świst fabryczny rozdarł ciszę wczesnego poranku, a za nim we wszystkich stronach miasta zaczęły się zrywać coraz zgłębliwiej inne i darły się chrapliwymi, niesfornymi głosami, niby chór potwornych kogutów, piejących metalowymi gardzielami hasło do pracy.

Olbrzymie fabryki, których długie, czarne cielska i wysmukłe szyje — kominy, majaczyły w nocy, w mgle i w deszczu — budziły się z wolna, buchały płomieniami ognisk, oddychały kłębami dymów, zaczynały żyć i poruszać się w ciemnościach, jakie jeszcze zalegały ziemię.

Deszcz drobny, marcowy deszcz pomieszany ze śniegiem padał wciąż i rozwłóczył nad Łodzią ciężki, lepki tuman¹; bębnił w blaszane dachy i spływał z nich prosto na trotuary, na ulice czarne i pełne grząskiego błota, na nagie drzewa przytulone do długich murów, drżące ze zimna, targane wiatrem, co zrywał się gdzieś z pól przemiekłych i przewalał się ciężko błotnistymi ulicami miasta, wstrząsał parkanami, próbował dachów i opadał w błoto i szumiał między gałęziami drzew i bił nimi w szyby niskiego, parterowego domu, w którym nagle zabłysło światło.

Borowiecki się obudził, zapalił świecę i równocześnie budzik zaczął dzwonić gwałtownie, wskazując piątą.

— Mateusz, herbata! — krzyknął do wchodzącego lokaja.

— Wszystko gotowe.

— Panowie śpią jeszcze?

— Zaraz będę budził, jeśli pan dyrektor każe, bo pan Moryc mówił wieczorem, że chce dzisiaj spać dłużej.

— Idź obudź.

— Klucze już brali?

— Sam Schwarc wstępował.

¹ *tuman* — mgła.

- Telefonował kto w nocy?
- Kunke był na dyżurze, ale odchodząc nic mi nie mówił.
- Co słyhać na mieście? — pytał prędko, prędzej jeszcze się ubierając.
- A nic, ino zaś na Gajerowskim rynku zażgali robotnika.
- Dosyć, ruszaj.

— Ale, spaliła się też fabryka Goldberga, na Cegielnianej. Nasza straż jeździła, ale wszystko dobrze poszło, ostały tylko mury. Z suszarni poszedł ogień.

- Cóż więcej?
- A nic, wszystko poszło fein¹, na glanc² — zaśmiał się rechocząco.
- Nalewaj herbatę, ja sam obudzę pana Moryca.

Ubrał się i poszedł do sąsiednich pokojów, przechodząc przez stołowy, w którym wisząca u sufitu lampa rozrzucała ostre, białe światło na stół okrągły, nakryty obrusem i zastawiony filiżankami i na samowar błyszczący.

— Maks, piąta godzina, wstawaj! — zawołał, otwierając drzwi do ciemnego pokoju, z którego buchnęło duszne, przesycone zapachem fiołków powietrze.

Maks się nie odezwał, tylko łóżko zaczęło trzeszczeć i skrzypieć.

— Moryc! — zawołał do drugiego pokoju.

— Nie śpię. Nie spałem całą noc.

— Dlaczego?

— Myślałem o tym naszym interesie, trochę sobie obliczałem i tak zeszło.

— Wiesz, Goldberg się spalił dzisiaj w nocy i to zupełnie na glanc, jak Mateusz mówi...

— Dla mnie to nie nowina — odpowiedział, ziewając.

— Skąd wiedziałeś?

— Ja miesiąc temu wiedziałem, że on się potrzebuje spalić. Dziwiłem się nawet, że tak długo zwleka, przecież procentów mu nie dadzą od asekuracji³.

¹ *fein* (niem.) — dobrze, świetnie.

² *na glanc* (z niem. *Glanz*: połysk; świetność) — na wysoki połysk, doskonale.

³ *asekuracja* — tu: ubezpieczenie.

- Miał dużo towaru?
- Miał dużo zaasekurowane...
- Bilans sobie wyrównał.

Roześmiali się obaj szczerze.

Borowiecki wrócił do stołowego i pił herbatę, a Moryc, jak zwykle, szukał po całym pokoju różnych części garderoby i wymyślał Mateuszowi.

— Ja tobie zbiję ładny kawałek pyska, ja ci z niego czerwony barchan¹ zrobię, jak mi nie będziesz składał wszystkiego porządnie.

— Morgen²! — krzyknął przebudzony wreszcie Maks.

— Nie wstajesz? Już po piątej.

Odpowiedź zagłuszyły świstawki, które się rozległy jakby tuż nad domem i ryczały przez kilkanaście sekund z taką siłą, aż szyby brzęczały w oknach.

Moryc, w białiznie tylko, z paltem na ramionach, usiadł przed piecem, w którym wesoło trzaskały szczapy smolne.

— Nie wychodzisz?

— Nie. Miałem jechać do Tomaszowa, bo Weis pisał do mnie, aby mu sprowadzić nowe gręple³, ale teraz nie pojadę. Zimno mi i nie chce mi się.

— Maks, także zostajesz w domu?

— Gdzie się będę spieszył? Do tej parszywej budy? A zresztą wczoraj się z fatrem⁴ pożarłem.

— Maks, ty źle skończysz przez to żarcie się ciągle ze wszystkimi! — mruknął niechętnie i surowo Moryc, rozgrzebując pogrzebaczem ogień.

— Co cię to obchodzi! — krzyknął głos z drugiego pokoju.

Łóżko zatrzeszczało gwałtownie i w drzwiach ukazała się wielka figura Maksa, w białiznie tylko i w pantoflach.

— A właśnie, że mnie to bardzo obchodzi.

— Daj mi spokój, nie irytuj mnie. Karol mnie obudził diabli wiedzą po co, a ten znowu pyskować zaczyna.

¹ *barchan* (z arab.) — rodzaj tkaniny bawełniano-lnianej, barwionej jednostronnie, używanej głównie do wyrobu ciepłej białizny.

² *Morgen* (z niem.: ranek) — skrót od *Guten morgen*: dzień dobry.

³ *grępla* (a. *grępel*, *gręplarka*) — urządzenie stosowane do rozczesywania surowych, zmierzwionych włókien bawełnianych, wełnianych, lnianych itp.

⁴ *fater* (z niem. *Vater*) — ojciec.

Gadał głośno, niskim, silnie brzmiącym głosem.

Cofnął się do swojego pokoju i po chwili wyniósł całą garderobę, rzucił ją na dywan i z wolna się ubierał.

— Ty nam psujesz interes tym swoim żarciem — zaczął znowu Moryc, wciskając złote binokle na swój suchy, semicki nos, bo mu się ciągle zsuwały.

— Gdzie? Co? Jak?

— Wszędzie. Wczoraj u Blumentalów powiedziałeś głośno, że większość naszych fabrykantów to prości złodzieje i oszuści.

— Powiedziałem, a jakże i zawsze to będę mówił.

Jakiś niechętny, pogardliwy uśmiech przeleciał mu po twarzy, gdy patrzył na Moryca.

— Ty, Maks Baum, mówić tego nie będziesz, mówić ci tego nie wolno, to ja ci powiadam.

— Dlaczego? — zapytał cicho i oparł się o stół.

— Ja ci powiem, jeśli tego nie rozumiesz. Przede wszystkim, co ci do tego? Co cię to obchodzi, czy oni są złodzieje, czy porządni ludzie? My wszyscy razem jesteśmy tu po to w Łodzi, żeby zrobić geszeft¹, żeby zarobić dobrze. Nikt z nas tutaj wiekować nie będzie. A każdy robi pieniądze, jak może i jak umie. Ty jesteś czerwony, ty jesteś radykał pons nr 4².

— Ja jestem uczciwy człowiek — burknął tamten, nalewając sobie herbatę. Borowiecki, oparty o stół łokciami, utopił twarz w dłoniach i słuchał.

Moryc na odpowiedź usłyszaną odwrócił się gwałtownie, aż binokle mu spadły i uderzyły w poręcz krzesła, popatrzył się na Maksa z uśmiechem gryzącej ironii na wąskich ustach, pogładził cienkimi palcami, na których skrzyły się brylantowe pierścionki, rzadką, czarną jak smoła brodę i szepnął drwiąco:

— Nie gadaj Maks głupstw. Tu chodzi o pieniądze. Tu chodzi, żebyś nie wyjeżdżał z tymi oskarżeniami publicznie, bo to naszemu kredytowi może zaszkodzić. My mamy założyć fabrykę we trzech, my nic nie mamy, to my potrzebujemy mieć kredyt i zaufanie u tych, co go nam dadzą. My teraz potrzebujemy być porządni ludzie, gładcy, mili, dobrzy. Jak ci Borman

¹ geszeft (z niem. *Geschäft*) — interes.

² pons nr 4 — zapewne: określenie odcienia czerwieni stosowane w przemyśle tekstylnym.

powie: „Podła Łódź”, to mu powiedz, że jest cztery razy podłą — jemu trzeba przytakiwać, bo to gruba fisz¹. A coś ty o nim powiedział do Knolla? Że jest głupi cham. Człowieku, on nie jest głupi, bo on ze swojej mózgownicy wyciągnął miliony, on te miliony ma, a my je także chcemy mieć. Będziemy mówić o nich wtedy, jak będziemy mieli pieniądze, a teraz trzeba siedzieć cicho, oni są nam potrzebni; no, niech Karol powie, czy ja nie mam racji — mnie idzie przecież o przyszłość nas trzech.

— Moryc ma zupełną prawie słuszość — powiedział twardo Borowiecki, podnosząc zimne, szare oczy na wzburzonego Maksa.

— Ja wiem, że wy macie rację, łódzką rację, ale nie zapominajcie, że jestem uczciwy człowiek.

— Frazes, stary, wytarty frazes!

— Moryc, ty jesteś podły żydzyk! — wykrzyknął gwałtownie Baum.

— A ty jesteś głupi, syntymentalny² Niemiec.

— Klóćcie się o wyrazy — ozwał się chłodno Borowiecki i zaczął wdziawać palto. — Żałuję, że nie mogę zostać z wami, ale puszczam w ruch nową drukarnię.

— Nasza wczorajsza rozmowa na czym stanęła? — zapytał spokojnie już Baum.

— Zakładamy fabrykę.

— Tak, ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic — zaśmiał się głośno.

— To razem właśnie mamy tyle, w sam raz tyle, żeby założyć wielką fabrykę. Cóż stracimy? Zarobić zawsze można — dorzucił po chwili. — Zresztą, albo robimy interes, albo interesu nie robimy. Powiedzcie raz jeszcze.

— Robimy, robimy! — powtórzyli obaj.

— Co to, Goldberg się spalił? — zapytał Baum.

— Tak, zrobił sobie bilans. Mądry chłop, robi miliony.

— Albo skończy w kryminale.

— Głupie słowo! — zachnął się niecierpliwie Moryc. — Ty sobie takie rzeczy gadaj w Berlinie, w Paryżu, w Warszawie, ale w Łodzi nie gadaj. To nieprzyjemne słowa, nam oszczędź ich.

¹ *fisz* (z niem. *Fisch*) — ryba.

² *syntymentalny* — dziś popr.: sentymentalny.

Maks się nie odezwał.

Świstawki znowu zaczęły podnosić swoje przenikliwe, denerwujące głosy i śpiewały coraz potężniej hejnał poranny.

— No, muszę już iść. Do widzenia, spółnicy, nie kłóćcie się, idźcie spać i śnijcie o tych milionach, jakie zrobimy.

— Zrobimy!

— Zrobimy! — powiedzieli razem.

Uścisnęli sobie mocno, po przyjacielsku dłonie.

— Zapisać trzeba dzisiejszą datę; będzie ona dla nas bardzo pamiętną.

— Dodaj tam, Maksie, taki nawias, kto z nas najpierw zechce okpić drugich.

— Ty, Borowiecki, jesteś szlachcic, masz na biletach wizytowych herb, kładłeś nawet na *prokurze*¹ swoje *von*, a jesteś największym z nas wszystkich Łodzermenschem — szepnął Moryc.

— A ty nim nie jesteś?

— Ja przede wszystkim mówić o tym nie potrzebuję, bo ja potrzebuję zrobić pieniądze. Wy i Niemcy to dobre narody, ale do gadania.

Borowiecki podniósł kołnierz, pozapinał się starannie i wyszedł.

Deszcz mżył bezustannie i zaciął skośnie, aż do pół okien małych domków, co w tym końcu Piotrkowskiej ulicy stały gęsto przy sobie, gdzieniegdzie tylko jakby rozepchnięte olbrzymem fabrycznym lub wspaniałym pałacem fabrykanta.

Szeregi niskich lip na trotuarze gięły się automatycznie pod uderzeniem wiatru, który hulał po błotnistej, prawie czarnej ulicy, bo rzadkie latarnie rozsiewały tylko koła niewielkie żółtego światła, w którym błyszczało czarne, lepkie błoto na ulicy i migały setki ludzi, w ciszy wielkiej a z pospiechem szalonym biegnących na głos tych świstawek, co teraz coraz rzadziej odzywały się dokoła.

— Zrobimy? — powtórzył Borowiecki, przystając i topiąc spojrzenie w tym chaosie kominów, majaczących w ciemności; w tej masie czarnej, nieruchomej, dzikiej jakimś kamiennym spokojem, fabryk, co stały wszędzie i ze wszystkich stron zdały się wyrastać przed nim czerwonymi, potężnymi murami.

¹ *prokura* — pełnomocnictwo.

— Morgen! — rzucił ktoś stojącemu, biegnąc dalej.

— Morgen... — szepnął i poszedł wolniej.

Gryzły go wątpliwości, tysiące myśli, cyfr, przypuszczeń i kombinacji przewijało mu się pod czaszką, zapominał prawie, gdzie jest i dokąd idzie.

Tysiące robotników, niby ciche, czarne roje, wypełzło nagle z bocznych uliczek, które wyglądały jak kanały pełne błota, z tych domów, co stały na krańcach miasta niby wielkie śmietniska — nappełniło Piotrkowską szmerem kroków, brzękiem blaszanek błyszczących w świetle latarni, stukiem suchym drewnianych podeszew trepów i gwarem jakimś sennym oraz chłupotem błota pod nogami.

Zalewali całą ulicę, szli ze wszystkich stron, zapelniali trotuary, człapali się środkiem ulicy, pełnej czarnych kałuż wody i błota. Jedni ustawiali się bezładnymi kupami przed bramami fabryk, drudzy, uszeregowani w długiego węża, znikali w bramach, jakby połykani z wolna przez buchające światłem wnętrza.

W ciemnych głębiach zaczęły buchać światła. Czarne, milczące czworoboki fabryk błyskały nagle setkami płomiennych okien i niby ognistymi ślepiami świeciły. Elektryczne słońca nagle zawisały w cieniach i skrzyły się w próżni.

Białe dymy zaczęły bić z kominów i rozwłóczyć się pomiędzy tym potężnym kamiennym lasem, co tysiącami kolumn zdawał się podpieierać i jakby chwiał się w drganiach światła elektrycznego.

Ulice opustoszały, gaszono latarnie, ostatnie świstawki przebrzmiały, cisza pełna chłupotu deszczu, coraz cichszych poświstywań wiatru, rozwłóczyła się po ulicy.

Otwierano szynki i piekarnie, a gdzieniegdzie, w jakimś okienku na poddaszu lub w suterynach, do których sączyło się uliczne błoto, błyskały światła.

Tylko w setkach fabryk wrzało życie wysilone, gorączkowe; głuchy łoskot maszyn drżał w powietrzu mglistym i obijał się o uszy Borowieckiego, który wciąż spacerował po ulicy i patrzył w okna fabryk, za którymi rysowały się czarne sylwetki robotników lub olbrzymie kontury maszyn.

Nie chciało mu się iść do roboty. Było mu dobrze tak chodzić i myśleć o tej przyszłej fabryce, urządzać ją, puszczać w ruch, pilnować. Tak się zatapiał w tym rozmarzeniu, że chwilami najwyraźniej słyszał około

siebie i czuł tę przyszłą fabrykę. Widział stosy materiałów, widział kantor, kupujących, szalony ruch, jaki panował. Czuł jakąś wielką falę bogactw płynącą mu pod stopy.

Uśmiechał się bezwiednie, oczy mu wilgotnymi blaskami świeciły, na bladą, piękną twarz występowały rumieńce głębokiej radości. Poglądził nerwowo brodę mokrą od deszczu i oprzytomniał.

— Co za głupstwo — szepnął niechętnie i obejrzał się dokoła, jakby z obawy, czy kto nie widział tej chwilowej słabości.

Nie było nikogo, ale już szarzało, ze słabego, przemglonego świtu zaczynały powoli wychylać się kontury drzew, fabryk i domów.

Piotrkowską zaczynały ciągnąć od rogatek sznury chłopskich wozów, od miasta turkotały po wybojach olbrzymie wozy towarowe ładowane węglem i platformy naładowane przędzą, bawełną w belach, surowym towarem lub beczkami, a pomiędzy nimi przemykały pośpiesznie małe bryczki lub powoziki fabrykantów spieszących do zajęć, lub tłukła się z hałasem dorożka wioząca zapóźnionego oficjalistę¹.

Borowiecki przy końcu Piotrkowskiej skręcił na lewo, w małą, niebrukowaną uliczkę, oświetloną kilkoma latarniami na sznurach i olbrzymią fabryką, którą już szła². Długi czteropiętrowy budynek świecił wszystkimi oknami.

Przebrał się szybko w zafarbowaną, brudną bluzę i pobiegł do swojego oddziału.

¹ *oficjalista* (z łac. *officium*: służba, urząd) — urzędnik.

² *szła* — tu: pracowała, funkcjonowała.

II

— Murray, dzień dobry! — krzyknął Borowiecki.

Murray okręcony w długi, niebieski fartuch, wysunął się spoza rzędów ruchomych kotłów, w których się gotowały i robiły farby. W mdłym świetle elektrycznym, przesyconym kolorowymi parami, jego długa, koścista twarz starannie wygolona i świecąca blado-niebieskimi, jakby wypełzłymi¹ oczami, robiła wrażenie karykatury z Puncha².

— A, Borowiecki! Chciałem widzieć pana, byłem u was wieczorem, zastałem Moryca, ale że ja go nie cierpię, nie czekałem.

— Dobry chłopak.

— Co mi do jego dobroci! Nie cierpię jego rasy.

— Drukują już pięćdziesiąty siódmy numer?

— Drukują. Wydałem farbę.

— Trzyma się?

— Pierwsze metry nieco lakowała. Przysłali z centrali zamówienie na pięćset sztuk tej pańskiej lamy³.

— Aha, dwudziesty czwarty numer, seledynowa.

— I z filii Bech telefonował o to samo. Czy będziemy robić?

— Dzisiaj już nie. Mamy bojki pilne, mamy jeszcze pilniejsze do drukowania te letnie korty⁴.

— Telefonowali o barchan numer siódmy.

— W apreturze⁵. — Muszę tam zaraz iść.

¹ *wypęzły* — wyblakły.

² *Punch* (ang. cios) — tygodnik satyryczny ukazujący się w Wielkiej Brytanii latach 1841–1992 i 1996–2002; czasopismo publikowało serie rysunków satyrycznych z rymowanym komentarzem (prototyp komiksu), współpracowali z nim sławni pisarze, m.in. autor *Pierścienia* i *Róży* William Makepeace Thackeray oraz twórca *Kubusia Puchatka*, Alan Alexander Milne.

³ *lama* — tkanina o osnowie jedwabnej; dawniej szyto z niej wytworne stroje, szaty liturgiczne oraz używano do dekoracji wnętrz; złotogłów.

⁴ *kort* — tkanina wełniana o skośnym splocie używana głównie na ubrania męskie.

⁵ *apretura* — wykańczanie, uszlachetnianie tkanin.

— Chciałem panu coś powiedzieć...

— Słucham, słucham! — szepnął grzecznie, ale z pewną niechęcią.

Murray ujął go pod rękę i odprowadził w kąt za wielkie beczki, z których co chwila czerpano farby.

Kuchnia, bo tak nazywano tę salę, tonęła w zmroku. Pod okapami wiszącymi nisko, niby pod stalowymi parasolami kręciły się wolno, automatycznie, szerokie miedziane mieszała, przegarniające farby w wielkich kotłach, błyszczących miedzią polerowaną.

Budynek cały drżał od ruchu maszyn.

Długie transmisje, niby węże blado-żółte, nieskończonej długości, goniły się z szaloną szybkością pod sufitem, przewijały się nad podwójnym szeregami kotłów, pełzały wzdłuż ścian, krzyżowały się wysoko, ledwie dojrzane w obłoku gryzących kolorowych par, co buchały ustawicznie z kotłów i przyciemniały światło i uciekały wśród murów, przez wszystkie otwory do innych sal.

Sylwetki robotników w koszulach umazanych farbami przemykały cicho i jak cienie ginęły w zmroku, wózki z łoskotem wjeżdżały i wyjeżdżały obciążone farbami gotowymi, które wiozły do drukarni i farbiarni.

Ostry straszliwie zapach siarki rozchodził się wszędzie.

— Kupiłem wczoraj meble — szeptał cicho do ucha Borowieckiego. — Uważasz pan, do saloniku kupiłem żółte jedwabne w stylu empire. Do jadalnego obstałowałem dębowe w stylu Henryka IV, a do buduaru...

— A kiedyż się pan żeni? — przerwał mu dosyć niecierpliwie.

— No, nie wiem jeszcze. Chociaż ja chciałbym jak najprędzej.

— To już po oświadczeniach? — spojrzał dosyć ironicznie na zgarbionego i dosyć śmiesznie wyglądającego Anglika; jego garb wydał mu się teraz potwornym, a on sam przypominał małpę tą długą, wystającą szczęką i szerokimi ustami, niezmiernie ruchliwym.

— Tak jakby już. W niedzielę właśnie powiedziała mi, jak by chciała mieć urządzone mieszkanie. Wypytałem się szczegółowo, odpowiadała tak, jak odpowiadają kobiety, gdy idzie o ich przyszłe gospodarstwo.

— Ostatnim razem myślałeś pan tak samo.

— Tak, ale nie miałem takiej pewności ani w połowie! — zaręczał gorąco.

— No, kiedy tak, to winszuję panu szczerze, kiedyż poznam narzeczoną?
— Na wszystko przyjdzie czas, na wszystko.
— Dlatego też wierzę, iż się pan w końcu ożeni — szepnął drwiąco.
— Może byś pan przyszedł jutro do mnie, dobrze? Chciałem koniecznie usłyszeć pańskie zdanie o tych meblach.

— Przyjdę.
— Ale kiedy?
— Po obiedzie.

Murray wrócił do farb i laboratorium, a Borowiecki pobiegł dalej do farbiarni przez korytarze i przejścia zapchane wózkami naładowanymi towarem ociekającym wodą, ludźmi i stosami towaru leżącego na ziemi w wielkich kupach, oczekującego swojej kolei.

Co chwila zastępowano mu drogę z najrozmaitszymi interesami.

Wydawał krótkie rozkazy, szybko decydował, pospiesznie informował, czasem obejrzał próbkę z farby, jaką mu przynosił robotnik, rzucał stanowczo:

— Dobrze lub jeszcze — i leciał dalej wśród spojrzeń setek robotniczych i szumu fabryki, co niby piekło wrzała chaosem.

Wszystko się trzęsło; ściany, sufity, maszyny, podłogi, huczały motory, świszczały przenikliwie pasy i transmisje, turkotały po asfaltowej podłodze wózki, szczękały czasem koła rozpędowe, zgrzytały tryby, leciały wskroś tego morza rozbitych drgań jakieś krzyki lub rozlegał się potężny, huczący oddech maszyny głównej.

— Panie Borowiecki!

Wyteżył oczy, bo wśród par, jakie zalegały całą farbiarnię, nie było nic prawie widać, prócz słabych rysów maszyn. Nie wiedział, kto woła.

— Panie Borowiecki!

Drgnął, bo go ujęto pod ramię.

— A, pan prezes — szepnął, poznawszy właściciela fabryki.

— Ja pana gonię, ale pan dobrze uciekasz.

— Robota, panie dyrektorze.

— Tak, tak, ja to rozumiem. Zmęczyłem się na śmierć — trzymał go silnie za ramię, zamilkł i dyszał ciężko ze zmęczenia.

— Idzie, co? — zapytał po chwili.

— Robi się — rzucił krótko i szedł naprzód.

Fabrykant uczepony u jego ramienia włókł się ciężko, podpierał się grubą łaską i zgarbiony prawie we dwoje, podnosił okrągłe czerwone oczy jastrzębie i twarz dużą, świecącą, okrągłą, ozdobioną małymi baczkami i wąsami przyciętymi równo.

— Cóż, te Watsony dobrze działają?

— Po piętnaście tysięcy metrów dziennie drukują.

— Mało — mruknął cicho, puścił jego ramię i przysiadł na wózku pełnym surowego perkalu, obciągnął gruby kaftan, w jaki był ubrany, podparł się łaską i siedział.

Borowiecki pobiegł do wielkich kadzi farbiarskich, nad którymi, na wielkich wałach rozwinięte zwoje materiałów kręciły się w kółko i kąpały w farbie, rozpryskując ją na twarze i koszule robotników, którzy stali nieruchomie, co chwila czerpiąc z kadzi wodę dłonią i patrząc, czy jest w niej jeszcze farba, którą wyciągał materiał.

Kilkadziesiąt tych wałów ustawionych rzędem, toczyło się wciąż w kółko, z męczącą jednostajnością, długie, poskręcane zwoje materiałów pławiły się w farbach i błyskały w mgle matowymi plamami czerwieni, błękitu i ochry.

Z drugiej strony, za podwójnym rzędem żelaznych słupów, podtrzymujących wyższe piętra fabryki i rozrośniętych gęsto po olbrzymiej sali, stały płuczkarnie; długie skrzynie, pełne wrzącej wody pieniącej się sodą, praczek mechanicznych, wyżymaczek, mydła, przez które przesuwiał się surowy materiał; bryzgi rozbitej trzepaczkami wody rozsypywały się na salę i tworzyły nad praczkarniami tak gęsty тумan, że światła paliły się zaledwie jakby odbite w lustrze.

Mechaniczne odbieracze szczękały, odbierając wyprany już towar, na siebie, niby na rozkrzyżowane ręce i oddawały go robotnikom, którzy pretami układali go w wielkie fałdy na wózki, podsuwane co chwila.

— Panie Borowiecki! — zawołał fabrykant do jakiegoś cienia, co się wychylił z mgieł, ale to nie był Borowiecki.

Podniósł się i włókł swoje chore zreumatyzmowane nogi po sali, kąpał się z rozkoszą w tej rozpalonej atmosferze. Zatapiał swoje schorowane ciało w sali pełnej oparów, ostrych zapachów farb, wody pryskającej z płuczkarek i z kadzi, ściekającej z wózków, chlupiącej pod nogami, lejącej się ze sufitów, z których skroplona para opadała prawie strumieniami.

Szalony, podobny do drgającego jęku, szczeńk centryfugi¹, wyciągającej wodę z materiałów, przenikał całe sale, wświdrowywał się w nerwy robotników pilnujących, wpatrzonych w robotę i pochłoniętych zupełnie czuwaniem nad maszynami i rozbijał się o kolorowe, powiewające niby sztandary, materiały na odbieraczach.

Borowiecki teraz był w sąsiedniej sali, gdzie na niskich angielskich maszynach starego systemu farbowano ordynarny² czarny towar na męskie ubrania.

Dzień wlewał się setkami okien i kładł zielonawy ton na czarne opary i na robotników, co niby kolumny z bazaltu stali nieruchomi, z założonymi rękami, wpatrzeni w maszyny, przez które przesuwaly się dziesiątki tysięcy metrów gryzione przez spienione, bryzgające, czarne farby.

Mury drżały ciągle. Fabryka pracowała wszystkimi mięśniami.

Windy, osadzone w murach, łączyły dół fabryki z jej czterema piętrami wierzchu. Co chwila rozlegał się głuchy szczeńk w innej stronie sali, to winda brała lub wyrzucała z siebie wózki, towary, ludzi...

Dzień i do wielkiej sali zaczął zaglądać, brudne światło wciskało się przez małe zapocone szybki, zasnute brudem i parą, wylaniając z nich zarysy pełniejsze maszyn i ludzi, ale w tym szaro-zielonawym świetle, po którym pływały długie smugi czerwonych oparów i gdzie pyliły się nimby gazowych światel — i ludzie i maszyny wyglądali jak nieprzytomni, jak widziadła porwane straszną siłą ruchu; jak jakieś strzepy, pyły, drzazgi skłębione, splątane, rzucone w wir, który z hukiem się przewalał.

Herman Bucholc, właściciel fabryki, gdy obejrzał farbiarnię, powlókł się dalej.

Przechodził pawilony, podnosił się w górę windami, schodził schodami, sunął się długimi korytarzami, przyglądał się maszynom, oglądał towar, rzucał czasem posępnym okiem na ludzi, czasem rzekł jakieś krótkie słowo, które jak błyskawica oblatywało całą fabrykę, odpoczywał na stosach sztuk, czasem na progach; niknął, aby za chwilę pokazać się w innej stronie fabryki, przy składach węgla, pomiędzy wagonami, których rzędy stały z jednej strony olbrzymiego czworoboku dziedzińca, ogrodzonego niby parkanem, murami fabryki.

¹ *centryfuga* — wirówka do rozdzielania mieszanin złożonych ze składników różnej gęstości.

² *ordynarny* (daw.) — zwykły.

Był wszędzie, a chodził jak noc jesienna ponury i milczący; gdzie się tylko zjawiał, gdzie przeszedł, rozmowy milkły, twarze się pochylały, oczy przestawały widzieć, postacie się zginały i kurczyły, jakby chcąc ująć spod promienia jego oczów.

Spotykał się kilkakrotnie z Borowieckim, biegającym ustawicznie po oddziale.

Spoglądali na siebie przyjaźnie.

Herman Bucholt lubił swojego dyrektora drukarni, więcej, on go szacował na całe te 10 000 rubli, jakie mu płacił rocznie.

— To jest najlepsza moja maszyna w tym oddziale — myślał, patrząc na niego.

Sam już się nie zajmował niczym, zięć prowadził fabrykę, a on wskutek przyzwyczajenia całego życia co rano przychodził do niej razem z robotnikami.

W fabryce jadał śniadanie i przesiadywał do południa, a po obiedzie, jeśli nie jeździł do miasta, to laził po kantorach, składach, magazynach bawełny.

Nie mógł żyć z dala od tego potężnego królestwa, które stworzył pracą własną całego życia i mocą swojego geniuszu przemysłowego, musiał czuć pod nogami, w sobie, te roztargane, trzęsące się mury; czuł się dopiero dobrze, przedzierając się przez przędzę transmisji i pasów, rozwleczoną po całej fabryce, wśród ostrych zapachów farb, blichowni¹, surowego materiału i smarów rozgrzanych w tym upale strasznym.

Siedział teraz w drukarni i przysłoniętymi oczyma patrzył na salę, jasno oświetloną wielkimi oknami, na maszyny drukarskie w ruchu, na te piramidy żelazne pracujące pospiesznie i w jakiejś groźnej ciszy.

Przy każdej drukarce osobna maszyna parowa świstała swym kołem pociągowym, które niby srebrne, wypolerowane tarcze, migotały z taką szaloną szybkością, że nie można było pochwycić konturów, a tylko jakiś nimb² srebrny wirował dokoła swojej osi i rozpylał świetlany, roziskrzony tuman.

¹ blichownia — maszyna do odtłuszczania i bielienia materiału.

² nimb (z łac. *nimbus*: chmura) — świetlista aura, poświata, aureola.

Maszyny działały z nieustającym ani na chwilę pośpiechem; długie nieskończenie pasy materiałów, co się przewijały pomiędzy walcami miedzianymi, odciskającymi na nich barwy deseni, ginęły w górze, na wyższym piętrze, w suszarni.

Ludzie z tyłu maszyn podkładający towar do drukowania poruszali się sennie, a majstrowie stali przed maszynami, co chwila któryś się pochylał, przypatrywał walcom, dolewał farby z wielkich kadzi, patrzył na materiał, i znowu stał zapatrzonego w te tysiące metrów, biegnących z szalonym pośpiechem.

Borowiecki wpadał do drukarni, aby śledzić działanie świeżo umontowanych¹ maszyn, porównywał próbki ze świeżo drukowanymi materiałami, wydawał polecenia, czasem na jego skinienie zatrzymano działający kolos, oglądał szczegółowo i szedł dalej znowu, bo ten potężny rytm fabryki, te setki maszyn, tysiące ludzi śledzących z najwyższą, prawie pobożną uwagą za ich działaniem, te góry towarów leżących, przewożonych wózkami, snujących się przez sale z pralni do farbiarni, z farbiarni do suszarni, stamtąd do apretury i w dziesięć jeszcze innych miejsc nim wyszły gotowe — porywał go.

Chwilami tylko siadał w swoim gabinecie, położonym przy „kuchni” i tam, w przerwie pomiędzy kombinowaniem nowych deseni, oglądaniem przysyłanych z zagranicy próbek, których olbrzymie, naklejone w albumy, stosy leżały po stołach — zamyślał się, a raczej próbował myśleć o sobie, o tym projekcie fabryki planowanej łącznie z przyjaciółmi — ale nie mógł zebrać myśli, nie mógł ani na chwilę zamknąć się w sobie, bo ta fabryka, której szum huczał w jego gabinecie, której ruch i pulsowanie czuł we własnych nerwach, w tętnie krwi nieomal, nie pozwalała się odosobnić, ciągnęła nieprzeparcie, zmuszała do służby i warowania każdego, który krążył w jej orbicie.

Zrywał się i biegł znowu, ale dzień mu się strasznie dłużył, tak że około czwartej poszedł do kantoru, który był w innym oddziale, aby wypić herbaty i zatelefonować do Moryca, aby był dzisiaj w teatrze, gdzie dawano przedstawienie amatorskie na jakiś cel dobroczynny.

— Pan Welt dopiero z pół godziny jak od nas wyszedł.

¹ umontowany — dziś: zamontowany.

- Tutaj był?
- Brał pięćdziesiąt sztuk białego towaru.
- Dla siebie?
- Nie, na zlecenie Amfilowa, do Charkowa. Cygarem można służyć?
- Owszem, zapalę, bo jestem diabło zmęczony.

Zapalił i siadł na wysokim taburecie¹, przed pustym biurkiem.

Główny buchalter kantoru, który go z unізonością traktował cygarem, stał przed nim, napychając sobie fajkę tytoniem, kilku młodych chłopaków, usadowionych na wysokich kobyłkach, pisało w wielkich, czerwono poliniowanych księżkach.

Cisza, jaka tutaj panowała, drażniący skrzyp piór, monotonne cykanie zegaru², denerwująco działały na Borowieckiego.

— Cóż słyszać, panie Szware? — zapytał.

— Rosenberg się załamał.

— Zupełnie?

— Nie wiadomo jeszcze, ale ja myślę, że się będzie układał, no, bo co za interes robić zwykłą kłapę? — zaśmiał się cicho i przybijał palcem wilgotny tytoń w fajce.

— Firma traci?

— To zależy od tego, ile będzie płacił za sto.

— Bucholc wie?

— Nie był jeszcze dzisiaj u nas, ale jak się dowie, zabolą go odciski; jest czuły na straty.

— Jego szlag może trafić — szepnął któryś z pochyłonych przy robocie.

— Byłaby szkoda!

— Bardzo wielka, niech Bóg broni!

— Niech żyje sto lat, niech ma sto pałaców, sto milionów, sto fabryk.

— I niech go razem sto choler ciśnie! — szepnął cicho któryś.

Cisza się zrobiła.

Szwarc patrzył groźnie na piszących, to na Borowieckiego, jakby chciał się usprawiedliwiać, że on nic nie winien, ale Borowiecki znudzonym wzrokiem patrzył w okno.

¹ *taburet* — dziś: taboret.

² *zegaru* — dziś poprawna forma: zegara.

W kantorze panowała atmosfera przytłaczającej nudy.

Ściany aż po sufit wyłożone drzewem malowanym na dąb, pełne pólek i ksiąg, rozstawionych systematycznie, żółciły się smutnie.

Naprost¹ okien stał wielki, czteropiętrowy budynek, z nagiej, czerwonej cegły i rzucał szaro-rdzawy, przynębiający refleks do kantoru.

Przez podwórko wylane asfaltem, po którym turkotały od czasu do czasu wózki i przechodzili ludzie, w kilku kierunkach biegly na wysokości pierwszego piętra grube, jak ramiona atlety, transmisje, warcząc głucho, od czego szyby w kantorze ustawicznie drżały.

Wysoko nad fabryką wisiało niebo ciężką, brudną płachtą, z której ściekał drobny deszcz i spływał po zabrudzonych murach smugami jeszcze brudniejszymi i sączył się po oknach kantoru, zakurzonych pyłem węglowym i bawełnianym, niby wstrętne płwociny.

W kącie kantoru, nad gazem, zaczął szumieć samowar.

— Panie Horn, może pan dać mi herbaty?

— A może pan dyrektor zechce butersznik²! — ofiarowywał uprzejmie Szwarz.

— Tylko trochę koszerny.

— To znaczy, że lepszy niżli pan jadasz, panie von Horn!

Horn przyniósł herbatę i zatrzymał się na chwilę.

— Co panu jest? — zapytał go Borowiecki, który z nim znał się bliżej.

— Nic — odparł krótko i powlókł niezawistnym³ spojrzeniem po Szwarzu, który rozwijał butersznity z gazety i układał je przed Borowieckim.

— Wyglądasz pan bardzo źle.

— Panu Horn nie służy fabryka. Po salonach trudno mu się przyzwyczaić do kantoru i do roboty.

— Bydłę albo inny parszywiec może się łatwo przyzwyczaić do jarzma, ale człowiekowi trudniej — syknął ze złością, ale tak cicho, że Szwarz nie zrozumiał słów, spojrzał uważnie, uśmiechnął się tępo i szepnął:

— Panie von Horn! Panie von Horn! Może pan dyrektor spróbuje, jest tu kombinacja szynki z pularą, bardzo dobra, moja żona jest sławna z tego.

¹ *naprost* — dziś: na wprost; naprzeciwno.

² *butersznik* (z niem.) — kromka chleba z masłem, kanapka; tu: drobn.

³ *niezawistnym* — raczej powinno być: nienawistnym.

Horn odszedł, usiadł przy biurku i błdził spojrzeniem po murach czerwonych, po oknach, za którymi bieleły się stosy szarpanej do przedzenia bawełny.

— Daj mi pan jeszcze herbaty.

Borowiecki chciał go wybadać.

Horn herbatę przyniósł i nie podnosząc oczów, zawrócił się do odejścia.

— Panie Horn, może pan za jakie pół godziny przyjdzie do mnie?

— Dobrze, panie dyrektorze. Ja nawet miałem interes i w tym celu jutro się wybierałem do pana. A może pan teraz zechcesz wysłuchać?

Chciał coś poufnie szepnąć, ale do kantoru weszła kobieta, czworo dzieci wpychając przed sobą.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — szepnęła cicho, ogarnęła wzrokiem te wszystkie głowy, co się podniosły znad pulpity, schyliła się pokornie do nóg Borowieckiego, bo stał najbliżej i miał najbardziej pokazać twarz.

— Wielmożny panie dziedzicu, a to z prośbą przyszedłem, wedle tego, co mojemu mężowi głowę urwało w maszynie, co ja teraz sierota biedna z dziećmi, co my jesteśmy biedne. Tom przyszła dopraszać się sprawiedliwości, aby mi pan dziedzic dał wspomnienie jako mojemu mężowi urwało głowę w maszynie. Wielmożny panie dziedzicu — i schyliła się znowu do kolan Borowieckiego, wybuchając płaczem.

— Za drzwi, wynosić się, tutaj takich spraw nie załatwia się! — krzyknął Szwarc.

— Cicho pan bądź! — zawołał na niego Borowiecki po niemiecku.

— Proszę pana, ona już od pół roku nachodzi wszystkie oddziały i kantory nasze, nie można się jej pozbyć niczym..

— A dlaczego niezałatwione?

— Pan się pyta? Ten cham umyślnie podłożył łeb pod koło, jemu się nie chciało pracować, a jemu się chciało okraść fabrykę! My teraz mamy płacić na jego babę i bękarty!

— A ty parchu jeden, to moje dzieci bękarty! — wykrzyknęła kobieta, w pasji przyskakując do Szwarca, który cofnął się za stół.

— Cicho kobieto! Niech pani uspokoi się i coby te małe panowie nie płakali — zawołał przestraszony, wskazując na dzieci, które uczepliły się matki i krzyczały wniebogłosy.

— Wielmożny dziedzicu, jużci że prawda co od samych kopań chodzę i ciągiem mi obiecują, że zapłacą, ciągiem chodzę i proszę, to mnie cyganią ino i wyciepują¹ kiej² sukę za drzwi.

— Uspokójcie się, pomówię dzisiaj z właścicielem, przyjdźcie tutaj za tydzień, to wam zapłacą.

— Ażeby ci Pan Jezus i ta Częstochowska szczęściła na zdrowiu, na majątku, na honorze, o mój dziedzicu kochany! — wykrzykiwała, przypadając mu do nóg, całując go po rękach.

Wydarł się jej i wyszedł, ale przystanął w wielkiej sieni i gdy wychodziła, zapytał:

— Z których wy stron?

— Adyć panie, jaże³ z pod Skierniewiec.

— Dawno w Łodzi?

— A będzie ze dwa roki jak my się tutaj przenieśli na swoje zatracenie.

— Chodzicie gdzie do roboty?

— A bo mnie to chcą gdzie przyjąć te poganiny, te heretyki zapowietrzzone, a po drugie kaj⁴ ja ostawię swoje sieroty.

— Z czegoż żyjecie?

— Bidujem, wielmożny panie, bidujem. Mieszkam na Bałutach z jednymi weberami i jaże całe trzy ruble płacę za pomieszkanie miesięcznie. Póki mój nieboszczyk żył, to choćby często gęsto było ze solą albo i z głodem, ale się ta żyło, a teraz kiej⁵ jego nie stało, to chodzę na Stare Miasto do posługi, czasem kto zawoła do prania i tak jest — gadała prędko, okręcając dzieci w jakieś ohydnie brudne strzępy chustek.

— Czemu nie wróćcie na wieś do domu?

— Wrócę panie, kiej mi tylko zapłacą za chłopą, to jużci, że wrócę, a niech tam to miasteczko Łódź mór⁶ nie minie, niech ją ta ogień spali, niech ich tam Pan Jezus niczego nie żałuje, coby wszystkie wyzdychały, co do jednego.

¹ wyciepywać (gwar.) — wyrzucać.

² kiej (gwar.) — niby, niczym.

³ jaże (gwar.) — aż.

⁴ kaj (gwar.) — gdzie.

⁵ kiej (gwar.) — kiedy, gdy.

⁶ mór (daw.) — epidemia śmiertelnej choroby.

— Cicho bądźcie, nie macie za co przeklinać — szepnął nieco po-drażniony.

— Ni mam za co? — wykrzyknęła zdumiona, podnosząc na niego bładą, brzydką, przegryzioną przez nędzę twarz i zapłakane, wybladłe niebie-skie oczy. — A to, wielmożny panie, my na wsi byli ino komorniki, bo mój miał trzy morgi gruntu, co mu przyszły w schedzie po ojcu, to że nie było za co postawić chałupy, tośwa mieszkali u stryjecznych swo-ich. Myśwa żyli z wyrobku ino, ale zawżdy człowiek mieszkał po ludzku i kartofli gdzie przysądził na odrobek i gąskę się uchowało albo i świ-niaka i jajko miał swoje i krowę mieliśwa, a tutaj co? Harował nieborak od świtu do nocy i jeść nie było co, żyliśmy kiej te dziady ostatnie, a nie kiej krześcianie, kiej psy, a nie kiej gospodarze poczwi.

— Pocóżeście tutaj przyjechali, trzeba było siedzieć na wsi.

— Po co? — zawołała boleśnie. — A bo ja wiem! Szły wszystkie, to i my-śwa poszły. Na wiosnę poszedł Jadam, ostawił kobitę i poszedł. Przyje-chał po żniwach taki wystrojony, co go nikt nie mógł poznać, cały w kor-tach i zegarek miał srybrny i piestronek i tyła piniędzy, coby na wsi i bez trzy roki nie zarobił. Ludzie się dziwowali, a ten zapowietrzony cygańł, bo mu za to zapłacili, żeby ludzi wiejskich sprowadził, obiecywał Bóg wie nie co. Tak zaraz poszło z nim dwóch parobków, Janków syn i Grzegorza spod lasu, a potem to już kto ino mógł, to leciał do tego miasteczka Łodzi. Kuźdymu się chciało kortów, zegarka i rozpusty! Ja mojego strzymywa-łam, bo po co nam było tutaj iść, do obcych w tyli świat, to me spral kiej bydlaka i poszedł, a potym przyjechał i zabrał ze sobą. Mój Jezu kochany, mój Jezu! — szeptała chlipiąc boleśnie i rozcierając sobie nos i lzy brud-nymi rękami i tak się zaczęła trząść w tym rozpaczliwym płaczu, że dzieci przytuliły się do niej i także zaczęły płakać cicho.

— Macie tutaj pięć rubli i zróbcie tak, jak wam mówiłem.

Miał tego już dosyć, odwrócił się spiesźnie i wyszedł, nie czekając po-dziękowań.

Nie cierpiał roztkliwień i czułości, a ta kobieta poruszyła w nim zamie-rającą z wolna, duszoną świadomie — uczuciowość.

Stał czas jakiś przy kotle „oksydacyjnym” Mather-Platta, przez który przechodził towar suchy i już drukowany i z pewnym roztargnieniem przyglądał się barwom świeżo wytworzonym, a raczej rozwiniętym

w przesunięciu się towaru przez kocioł. Żółte, nałożone bejcem kwiatki, zmieniły się na pąsowe pod wpływem wysokiej temperatury i skomplikowanych roztworów soli anilinowej.

Fabryka po chwilowym odpoczynku podwieczorkowym pracowała znowu z jednaką energią.

Borowiecki wyjrzał na świat z okien swojego gabinetu, bo poszarzało nagle i zaczął padać śnieg nadzwyczaj gęstymi płatami i pobielił ściany fabryk i dziedziniec. Spostrzegł Horna stojącego za domkiem szwajcara, przez który było jedyne wyjście z fabryki. Horn rozmawiał z tą samą kobietą, która mu za coś dziękowała z uniesieniem i chowała jakiś papier za stanik.

— Panie Horn! — krzyknął, wychylając przez lufcik głowę.

— Miałem przyjść właśnie do pana — ozwał się Horn, zjawiając się po chwili.

— Coś pan radził tej babie? — zapytał surowym dosyć głosem, patrząc w okno.

Horn zawahał się przez mgnienie, rumieniec powlókł jego dziewczęcą piękną twarz, a w niebieskich, dobrych oczach zamigotał płomień.

— Kazałem jej iść do adwokata, niechaj wytoczy proces fabryce o odškodowanie, bo wtedy prawo zmusi ich do zapłacenia.

— Co to pana obchodzi? — zaczął lekko bębnić po szybie i przygryzać usta.

— Co mnie obchodzi? — zamilkł na chwilę. — Bardzo mnie obchodzi wszelka nędza i wszelka niesprawiedliwość, bardzo...

— Czym pan tutaj jesteś? — przerwał mu ostro i usiadł przed długim stołem.

— No jestem praktykantem kantorowym, pan dyrektor przecież wie najlepiej — odpowiedział zdumiony.

— No, to panie Horn, pan nie skończysz tej praktyki, jak mi się zdaje.

— Wreszcie, to mi jest już wszystko — jedno szepnął dosyć twardo.

— Ale nam nie jest wszystko jedno, nam — fabryce, w której pan jesteś jednym z miliona kółek! Przyjęliśmy pana nie na to, żebyś tutaj produkował się ze swoją filantropią, a tylko, abyś robił. Pan wprowadzasz zamęt tutaj, gdzie wszystko polega na najdoskonalszym funkcjonowaniu, na prawidłowości¹ i zgodności.

¹ *prawidłność* — dziś: *prawidłowość*.

— Nie jestem maszyną, jestem człowiekiem.

— W domu. W fabryce od pana nie wymaga się egzaminów na człowieczeństwo, ani egzaminów na humanitarność, w fabryce potrzebne są pańskie mięśnie i mózg pański i tylko za to płacimy panu — rozdrażniał się coraz bardziej. — Jesteś pan tutaj maszyną taką samą jak my wszyscy, więc pan rób tylko to, co do pana należy. Tutaj nie miejsce do rozanieleń, tutaj...

— Panie Borowiecki! — przerwał mu szybko.

— Panie von Horn! Słuchaj pan, kiedy mówię do pana — zawołał groźnie, zrzucając gniewnie wielkie album¹ próbek na ziemię. — Bucholc przyjął pana na moje zaręczenie, znam pańską rodzinę, pragnę dla pana najlepiej, ale pan jesteś jak widzę chory na dziecinną demagogię.

— Jeżeli pan tak nazywasz współczucie zwykłe u ludzi.

— Pan mnie kompromitujesz takimi radami, dawanymi wszystkim mającym jakie bądź pretensje do fabryki. Trzeba było zostać panu adwokatem, byłbyś się wtedy mógł opiekować nieszczęśliwymi i pokrzywdzonymi, ma się rozumieć za dobrą zapłatą — dorzucił drwiąco, bo jego gniewny nastrój przepadł gdzieś, pod wpływem tych dobrych oczów Horna, wpatrzonych w niego. — Zresztą dajmy tej sprawie spokój. Będziesz pan dłużej w Łodzi, rozpatrzysz się w stosunkach, przyjrzyj się lepiej tym uciśnionym, to pan zrozumiesz, jak trzeba postępować. A weźmiesz pan interes po ojcu, to wtedy przyznasz mi pełną rację.

— Nie, panie, ja w Łodzi dłużej nie wytrzymam, ani interesu po ojcu nie obejmę.

— Cóż pan chcesz robić? — wykrzyknął zdumiony.

— Jeszcze nie wiem. Przyznaję się panu szczerze, chociaż tak ostro, za ostro pan mówi do mnie, ale mniejsza z tym, bo wiem, że pan, jako dyrektor takiej wielkiej drukarni, mówić inaczej nie może.

— Więc pan odchodzisz od nas? Tyle rozumiałem, ale nie wiem dlaczego?

— Dlatego, że już wytrzymać nie mogę w tym podłym chamstwie łódzkim. Pan jako człowiek pewnej sfery, rozumie mnie chyba. Dlatego, że ja całą duszą nienawidzę zarówno fabryk, jak i wszystkich Bucholców, Rozensztejnów, Entów, całej tej ohydnej, przemysłowej bandy — wybuchnął gwałtownie.

¹ wielkie album — dziś: wielki album.

— Ha, ha, ha, pan jesteś wspaniały fioł, nieporównany! — śmiał się Borowiecki serdecznie.

— To już nic więcej nie powiem — rzekł mocno dotknięty.

— Jak pan chce, a zawsze lepiej głupstw mówić mniej.

— Do widzenia.

— Żegnam pana. Ha, ha, ha, pan masz zdolności aktorskie!

— Panie Borowiecki — zaczął prawie ze łzami w oczach Horn, zatrzymując się i chciał coś mówić.

— Co?

Horn skłonił głowę i wyszedł.

— Kapitałny mazgaj — szepnęła za nim Borowiecki i także poszedł do suszarni.

Owionęło go suche, rozpalone powietrze.

Olbrzymie czworoboki z blachy, wypełnione straszliwie rozpalonym i suchym powietrzem brzęczały niby oddalone grzmoty, wymiotując niekończący się pas materiałów kolorowych, suchych i sztywnych.

Na niskich stołach, na ziemi, na wózkach, które suwały się cicho, leżały całe sterty materiałów i w tym suchym, jasnym powietrzu sali, której ściany były prawie ze szkła, paliły się przyćmionymi barwami złota przykopczonego, purpury o fioletowym odcieniu, błękitu marynarskiego, starego szmaragdu — niby stosy blach metalowych o matowym, martwym blasku.

Robotnicy w koszulach tylko i boso, z szarymi twarzami, z oczami zagaśniętymi i jakby wypalonymi tą orgią barw, jaka się tutaj tłoczyła, poruszali się cicho i automatycznie, tworzyli tylko dopełnienie maszyn.

Czasem który patrzył przez szyby w świat, na Łódź, która z tej wysokości czwartego piętra majaczyła w mgłach i dymach poprzecinanych tysiącami kominów, dachów, domów, drzew ogołoconych z liści; to znów na drugą stronę, na pola, co szły w głąb horyzontu — na szaro-białe, brudne, zalane wiosennymi roztopami przestrzenie, majaczące gdzieś czerwonymi gmachami fabryk, które z oddalenia czerwieniły się wskroś mgieł bolesnym tonem mięsa odartego ze skóry; na odległe linie wiosek małych, przywartych cicho do ziemi, na drogi, co się wywijały wskroś pól, czarną ciekącą błotem wstęgą, migającą pomiędzy rzędami nagich topoli.

Maszyny huczały bezustannie i bezustannie świstały transmisje uczipione pod sufitem i niosące siłę do innych sal, wszystko się poruszało w rytm

tych olbrzymich pudeł metalowych suszarni, które odbierały towar mokry z drukarni i wypływały go suchym, i stały w tej olbrzymiej, czworokątnej sali pełnej smutnych barw i smutnego światła dnia marcowego, smutnych ludzi, niby kapliczki boga-siły, rządzącego wszechwładnie.

Borowiecki czuł się rozstrojonym i z roztargnieniem oglądał towar, czy nie jest zbyt przesuszony lub spalony.

— Głupi chłopak — myślał o Hornie i chwilami stawała mu w pamięci ta młoda, szlachetna twarz i te oczy niebieskie, patrzące na niego z jakimś niemy żalem zawodu i wyrzutu. Czuł w sobie jakieś ciemne zaniepokojenie. Niektóre słowa Horna przychodziły mu na myśl, gdy patrzył na te tłumy ludzi w milczeniu pracujących.

— Byłem takim — poleciał myślą do tamtych, dawnych czasów, ale nie dał się ująć wspomnieniom w swoje szarpiące szpony, drwiący uśmiech wił mu się po ustach, a oczy świeciły zimno i rozważnie.

— To przeszło! Przeszło! — myślał z jakimś dziwnym uczuciem pustki, jakby mu żal było tamtych czasów, żal tych złudzeń niepowrotnych, porywów szlachetnych, zszarganych przez życie — ale to krótko trwało i znowu siebie odzyskiwał; był tym czym był, dyrektorem drukarni Hermana Bucholca, chemikiem, człowiekiem zimnym, mądrym, obojętnym, gotowym do wszystkiego, prawdziwym Lodzermenschem, jak go nazwał Moryc.

W takim był właśnie nastroju, przechodząc przez apreturę, gdy mu jeden z robotników zastąpił drogę.

— Czego? — zapytał krótko, nie zatrzymując się.

— A to nasz majster pan Pufke powiedział, że od pierwszego kwietnia będzie nas piętnastu ludzi mniej robiło

— Tak. Ustawi się nowe maszyny, które tylu ludzi nie potrzebują do obsługi, co stare.

Robotnik miał czapkę w ręku, nie wiedząc co powiedzieć i nie śmiejąc, ale zachęcony spojrzeniami, które błyskały zza maszyn, zza sągów materiałów, zapytał idąc za nim.

— A cóż my będziemy robili?

— Poszukacie sobie roboty gdzie indziej. Pozostaną tylko ci, którzy dawniej u nas pracują.

— A i my robimy już po trzy roky.

— Cóż ja wam poradzę, kiedy maszyna was nie potrzebuje, bo robi sama. Zresztą, do pierwszego może się jeszcze co zmienić, jeśli będziemy powiększali blich¹ — odpowiedział spokojnie i wszedł na winde, która zaraz z nim zapadła się w głębi ściany.

Robotnicy spoglądali na siebie w milczeniu, niepokój świecił im w oczach, niepokój przed jutrem, bez roboty, przed nędzą.

— Ścierwy nie maszyny. Psy, psiakrew — szepnął robotnik i kopnął z całą nienawiścią w bok jakiejś maszyny.

— Towar idzie na ziemię! — krzyknął majster.

Chłop prędko nadział czapkę, przygiął się nieco i ze spokojem automatu odbierał barchan czerwony z maszyny.

III

W restauracji hotelu Victoria było pełno.

Wielkie, niskie pokoje o ciemnych ścianach i żółtych, stiukowych sufitych udających drzewo, napelniał hałaśliwy gwar.

Wejściowe drzwi z bramy co chwila brzęczały mosiężnymi prętami zabezpieczającymi szkło, co chwila ktoś wchodził i ginął w mgłę dymów i w tłumie ludzi zapelniających restaurację; elektryczne światła w sali bufetowej wciąż drgały spazmatycznie i przygasały, a gazowe baki płonące równocześnie, rzucały mętne światło na zbitą około licznych stolików masę ludzi i na białe obrusy.

— Kelner, bitte, zahlen²!

— Piwa!

— Kelner, Bier³!

¹ *blich* (a. *blech*) — miejsce, w którym bielono tkaniny.

² *kelner, bitte, zahlen* (niem.) — dosł. kelner, proszę, (chcę) płacić; kelner, rachunek proszę.

³ *Bier* (niem.) — piwo.

Krzyżowały się wołania razem z głuchym stukiem kufli.

Garsoni¹ w zatłuszczonych frakach, z serwetami podobnymi do ścierek, przesuwali się we wszystkich kierunkach, błyskając brudnymi gorsami nad głowami pijących.

Wrzawa podnosiła się bezustannie napływającymi ludźmi i wykrzykiwaniem:

— „Lodzer Zeitung”!² „Kurier Codzienny”! — jakie rzucali chłopcy kręcący się pomiędzy stolami.

— Szczygieł, daj no Lodzerkę — zawołał Moryc, siedzący w pokoju bufetowym, pod oknem, w otoczeniu kilku aktorów, wiecznie przesiadających³ w knajpie — uważacie, co zrobił wczoraj nasz „fiol” vel dyrektor.

— Mów arcyfiol — wtrącił szeptem jakiś zgarbiony, stary aktor.

— Głupiś — odpowiedział mu pierwszy tajemniczym szeptem do ucha.

— Otóż nasz arcyfiol wczoraj w antrakcie drugim przyszedł za kulisy i skoro tylko Niusia zeszła ze sceny, powiada jej: „Tak pani grała wspa-
niale, że jak tylko kwiaty będą trochę tańsze, to kupię pani bukiet, chociażby za całe pięć rubli!”

— Co powiedział? — zapytał stary aktor, nachylając się do ucha sąsiada.

— Żebyś pan pocałował psa w nos.

Wybuchnęli śmiechem.

— Panie Welt, panie Maurycy, czy pan nie jesteś za cwaj-koniak⁴ systemem, co?

— Panie Bum-Bum, ja jestem za systemem wyrzucenia pana za drzwi.

— Chciałem kazać dać...

— Pan lepiej każ błagować za siebie.

— Cóż, kiedy pan mnie wyręczasz. Panno Ani, koniaczek — zawołał poprawiwszy binokle i uderzając w zaciśniętą pięść otwartą dłonią prawej ręki.

— Pański przodek, panie Maurycy, miał więcej wychowania — zaczął znowu Bum-bum, stojąc na środku pokoju z kawalkiem kielbasy na widelcu.

¹ garson (z fr.) — kelner.

² Lodzer Zeitung (niem.) — „Dziennik Łódzki”.

³ wiecznie przesiadających — dziś: wiecznie przesiadujących.

⁴ cwaj-koniak — cwaj (z niem.): dwa.

— Ja o pańskim tego nie mogę powiedzieć.
— Warum¹? — rzucił ktoś od sąsiedniego stolika.
— Bo go wcale nie miał.
— Nie, nie dlatego, tylko że nie bywał grzecznym względem swoich pachciarzy². Welt to zna z tradycji domowych.
— Wysortowany dawno dowcip, pięćdziesiąt procent niżej kosztu. Bum-buma, panowie sprzedaje się przez publiczną licytację. Kto da co?
— wykrzyknął złośliwie Moryc.
— Co on mówi? — zapytał znowu stary aktor szeptem, kiwając równocześnie na garsona.
— Żeś głupi! — odpowiedział mu tym samym tonem sąsiad.
— Kto co da za Bum-Buma? Panowie, Bum-Bum się sprzedaje. Stary jest, brzydki jest, głupi jest, zdezelowany jest, ale tanio się sprzedaje! — wykrzykiwał i zamilkł, bo Bum-Bum stanął i patrzył na niego, a po chwili rzekł krótko:
— Parch! Panno Ani, koniaczek!
Moryc hałaśliwie stuknął kuflem i śmiał się głośno, ale nikt mu nie wtórował.
Bum-Bum wypił i z pochyloną kwadratową twarzą koloru szmalcu przekrwionego, z oczami wypukłymi, bładoniebieskimi, przykrytymi binoklami na bardzo szerokiej wstążce, z grzywką rzadkich włosów oblepiających mu wysokie kwadratowe czoło, o pomarszczonej, wymiętej, chropowatej skórze, z pochyloną naprzód figurą starego rozpustnika, chodził po całej knajpie, powłócząc drgającymi tabetycznie nogami, przyczepiał się do rozmaitych grup, gadał dowcipy, z których sam śmiał się najgłośniejszy, albo usłyszane kawały roznosił i powtarzał z lubością, poprawiał obu rękami binokle, witał się prawie ze wszystkimi wchodzącymi, a przynajmniej połową, podchodził do bufetu, słyhać było bardzo często jego chrapliwy, rozłazący się głos.
— Panno Ani, koniaczek — i trzaśnięcie dłonią w pięść zaciśniętą.
Moryc przebiegł oczami „Zeitung”, niecierpliwie spoglądał na drzwi. Czekał na Borowieckiego. Wstał wreszcie, bo zobaczył w drugim pokoju znajomą twarz.

¹ *warum* (niem.) — dlaczego.

² *pachciarz* (daw.) — osoba dzierżawiąca coś od kogoś (np. karczmę); dawniej w Polsce funkcję taką sprawowali zazwyczaj Żydzi.

— Leon, kiedyś przyjechał?

— Dzisiaj rano.

— Jakże ci poszedł sezon? — pytał, siadając obok niego na zielonej kanapce.

— Świeceetnie! — wyciągnął nogi na krzeselku i rozpiął kamizelkę.

— Myślałem dzisiaj o tobie, a nawet wczoraj z Borowieckim mówiliśmy.

— Borowiecki! Ten od Bucholca?

— Tak.

— On wciąż drukuje swoje bojki? Słyszałem, że ma założyć na siebie.

— Dlatego właśnie mówiliśmy o tobie.

— I co, welna?

— Bawelna!

— Sama?

— Co to można dzisiaj wiedzieć.

— Pieniądze jest?

— Będą, a tymczasem jest coś więcej, kredyt...

— Do spółki z tobą?

— I z Baumem, znasz Maksa?

— Ojej! W tym wekslu jest feler, jeden żyrant niepewny! Borowiecki — dodał po chwili.

— Dlaczego?

— Polaczok! — rzucił dosyć pogardliwie i wyciągnął się prawie na kanapce i na krześle.

Moryc roześmiał się wesoło.

— To ty go wcale nie znasz. O nim dużo się w Łodzi będzie mówić. Ja w niego, że zrobi gruby interes, tak wierzę jak w siebie.

— A Baum, cóż to?

— Baum jest wół, jemu trzeba dać się wyspać i wygadać, a potem dać robotę, będzie robił jak wół, a zresztą on wcale nie jest głupi. Ty mógłbyś nam dużo pomóc i sam dużo byś zarobił. Nam już dawał oferty Krongold.

— Idźcie do Krongolda, to wielka osoba, on się zna ze wszystkimi bałaganami, które kupują długiego towaru za sto rubli rocznie; to jest wielki reisender¹ na Kutno, na Skierniowice. Zróbcie z nim interes, ja się nie

¹reisender (z niem. *Reisende*) — podróżujący, pasażer; tu: komiwojażer.

narzucam! Ja mam co sprzedawać, ja mam list przy sobie Bucholca, on mi chce powierzyć agenturę swoich towarów na cały Wschód, a jakie warunki mi daje! — i zaczął gorączkowo rozpinąć się i szukać po wszystkich kieszeniach tego listu.

— Wiem o tym, nie szukaj. Borowiecki mi wczoraj mówił, bo to on poradził ciebie Bucholcowi.

— Borowiecki! Naprawdę? Dlaczego?

— Bo on jest mądry i myśli o przyszłości.

— I tak sobie, przecież za taki interes mógłby grubo zarobić. Ja sam dałbym dwadzieścia tysięcy bares geld¹, jak tu siedzę. Co on w tym ma? i do tego my się prawie nie znamy.

— Co on w tym ma, to on ci sam powie, ale tylko tyle ci powiem, że gotówki nie weźmie.

— Szlachcie! — szepnął z pewnym drwiącym politowaniem Leon i splunął na środek pokoju.

— Nie, on tylko mądrzejszy od najmądrzejszych reisenderów i agentów na cały Wschód — odpowiedział Moryc, dzwoniąc nożem w kufel. — Dużoś sprzedał?

— Za kilkadziesiąt tysięcy, kilkanaście tysięcy gotówki, a reszta najlepsze weksle, bo na cztery miesiące z żyrem Safonowa! Jedwabny interes — uderzył Moryca w kolano z zadowolenia. — Mam i dla ciebie obstalunek. Widzisz, co to przyjaźń.

— Na ile?

— Razem ze trzy tysiące rubli.

— Długi czy krótki towar?

— Krótki.

— Weksel czy nachname²?

— Nachname? Zaraz ci dam zamówienie — zaczął przewracać w olbrzymim, zamykanym na klucz pugilaresie³.

— Co ci mam dać?

— Jeżeli gotówka, to wystarczy jeden procent, po przyjacielsku.

¹ bares geld (z niem. bares Geld) — gotówka.

² nachname (z niem. Nachnahme) — pobranie (pocztowe).

³ pugilares — dawniej: portfel.

— Gotówki teraz potrzebuję na gwałt, mam wypłaty, ale w ciągu tygodnia zapłacę.

— Dobrze. Masz zamówienie. Wiesz, w Białymstoku spotkałem Łuszczewskiego, przyjechaliśmy razem do Łodzi.

— Gdzież ten hrabia jedzie?

— Przyjechał do Łodzi robić interes.

— On! Ma widać za dużo; trzeba się z nim zobaczyć.

— Nic nie ma, przyjechał się dorobić czego.

— Jak to nic nie ma, przecież jeździliśmy całą bandą z Rygi jeszcze do jego majątków. Był pan na gruby sposób! I nic mu już nie zostało?

— Zostało! Trochę gumy z powozów na kalosze! Ha, ha, ha, kapitalny witz¹ — uderzył go w kolano.

— Cóż zrobił z majątkiem? Liczyli go lekko na dwieście tysięcy.

— A on teraz liczy sam, że ma ze sto tysięcy długów, a to skromny człowiek.

— Mniejsza z nim. Napijesz się?

— Warto by przed teatrem.

— Kelner, koniak, kawior, befszytk po tatarsku, porter oryginalny, galopp!

— Bum-Bum, chodź-no pan do nas! — krzyknął Leon.

— Jak się pan ma, jakże zdróweczko, jakże interesiki! — wykrzykiwał, ściskając mu rękę.

— Dziękuję, bardzo dobrze. Przywiozłem dla pana umyślnie z Odessy coś — wyjął z pugilaresu rysunek pornograficzny i podał.

Bum-Bum poprawił obu rękami binokle, wziął rysunek i zanurzył się w nim cały z lubością. Twarz mu poczerwieniała, młaskał językiem, obliżywał swoje sine, opadnięte wargi, trząsał się cały z zadowolenia.

— Cudowne, cudowne. Niebывале! — wykrzykiwał i powłókł się pokazywać wszystkim.

— Świnia — mruknął Moryc niechętnie.

— Lubi dobre rzeczy, a że jest znawcą...

— Nie poznałeś znowu kogo? — zapytał nieco ironicznie.

— Czeka!... — trząsał w palce, potem w kolano Moryca, uśmiechnął się i z pugilaresu, z pomiędzy rachunków i not wydobył fotografię kobiety.

¹ witz (z niem. Witz) — żart, dowcip.

— Co? Ładna maszyna? — mówił z najwyższym zadowoleniem, przy-
mrużając oczy.

— Tak.

— Prawda! Ja zaraz pomyślał, że będzie ci się podobać. To Francu-
zeczka, a!

— Wygląda na Holenderkę, ale krowę,

— Keine¹ gadanie. To droga sztuka, stówka za nic.

— Dałbym pięć za wyrzucenie jej za drzwi.

— Ty zawsze jesteś... no, już nie powiem.

— A ty masz reisenderowskie gusta, skąd takie bydlę, gdzie poznał?

— W Niżnim ja sobie „pokulił niemnożeczko²” z kupcami, to oni mówią
w końcu: „Chodź pan Lew w café concert!” Poszli. Nu, wódka, koniak,
szampańskie pili prawie z beczki, a potem słuchali śpiewu, ona śpiewacz-
ka — że...

— Zaczekaj, w tej chwili przyjdę! — przerwał Moryc, zerwał się i podszedł
do tęgiego Niemca, który wszedł do restauracji i rozglądał się po sali.

— Gut Morgen³, panie Müller!

— Morgen! Jak się pan ma, panie... — odpowiedział niedbale i rozglą-
dał się dalej.

— Pan szuka kogo? Może ja będę mógł pana objaśnić — nastęrczał się
natarczywie Moryc.

— Szukam pana Borowiecki, tylko po to wszedłem.

— Będzie zaraz, bo ja właśnie czekam na niego. Może pan pozwoli do
stolika. To mój kolega, Leon Kohn! — rekomendował.

— Müller! — rzucił z pewną dumą i przysiadł się.

— Kto by nie wiedział o tym! Każde dziecko w Łodzi wie takie nazwi-
sko — mówił prędko Leon, śpiesznie się zapinając i robiąc miejsce na
kanapie.

Müller uśmiechnął się pobłaźliwie i patrzył ku drzwiom, bo wszedł Bo-
rowiecki w towarzystwie, ale zobaczywszy go, towarzyszy zostawił przy
drzwiach i z kapeluszem w ręku szedł do tego królika bawełnianego, po

¹ *keine* (z niem.) — zaprzeczenie: żadne.

² *pokulił niemnożeczko* (z ros. *кытумь*: hulać, lumpować) — pohulałem troszeczkę.

³ *Gut Morgen* (niem.) — poprawnie: *guten Morgen*.

którego wejściu przyciszyło się w knajpie i wszyscy śledzili go z nienawiścią, zazdrością i dumą.

— Prawie czekałem na pana — zaczął Müller. Mam do pana interes. — Skinął głową Morycowi i Leonowi, uśmiechnął się do pozostałych, objął ręką w pas Borowieckiego i wyprowadził z knajpy.

— Telefonowałem do fabryki, ale mi odpowiedziano, że pan dzisiaj wyszedł wcześniej.

— Żałuję teraz bardzo — rzekł uprzejmie.

— Pisałem nawet do pana, sam pisałem — dodał mocniej, z wielką pewnością, chociaż na pewno wiadano w mieście, że umiał zaledwie się podpisać.

— Nie odebrałem listu, bo zupełnie nie wstępowałem do mieszkania.

— Pisałem o tym, com już kiedyś wspominał. Ja jestem prosty człowiek, panie von Borowiecki, to ja powiem raz jeszcze i prosto: dam panu tysiąc rubli więcej, wstąp pan do mojego interesu.

— Bucholc dałby mi dwa tysiące więcej, abym tylko został — szepnął zimno.

— Dam panu trzy, no, dam panu cztery! Słyszysz pan, cztery tysiące rubli więcej, to jest całe czternaście tysięcy rocznie, ładny grosz!

— Bardzo panu dziękuję, ale nie mogę przyjąć tak wspaniałej propozycji.

— Zostajesz pan u Bucholca? — zapytał prędko.

— Nie. Powiem otwarcie, dlaczego nie przyjmuję pańskiej oferty, ani nie zostaję w firmie — zakładam sam fabrykę.

Müller przystanął, odsunął się nieco, popatrzył i ciszej, z pewnym jakby szacunkiem zapytał:

— Bawełna?

— Nie powiem nic prócz tego, że żadnej konkurencji panu nie zrobię.

— Mnie jest ganz-pommade¹, wszystkie konkurencje — wykrzyknął, uderzając się po kieszeni. — Co mi pan może zrobić, co mi kto może zrobić? Kto co robi milionom?

Borowiecki nic się nie odezwał, tylko uśmiechał się, zapatrzony przed siebie.

¹ ganz-pommade (z niem.) — wszystko jedno.

— Co to będzie za towar? — zaczął Müller, znowu ujmując go niemieckim obyczajem wpół. Spacerowali tak po asfaltowym, powybijanym chodniku, prowadzącym przez podwórze hotelowe do gmachu teatralnego, stojącego w głębi, oświetlonego wielką latarnią elektryczną.

Tłumy ludzi szły do teatru.

Powóz za powozem zajeżdżał przed hotelową bramę i wyrzucał ciężkich i przeważnie opasłych mężczyzn i bardzo wystrojone kobiety, które pootulane szły pod parasolami tym chodnikiem, oślizgłym od wilgoci, bo chociaż deszcz ustał już, ale gęsta lepka mgła opadała na ziemię.

— Pan mi się podoba, panie von Borowiecki — mówił Müller, nie doczekawszy się odpowiedzi — tak mi się pan podoba, że jak tylko pan zrobi klapę, to zawsze znajdzie pan u mnie miejsce na jakie parę tysięcy rubli.

— Teraz dałby mi pan więcej?

— No, bo teraz pan jesteś dla mnie więcej wart.

— Dziękuję za szczerość — uśmiechnął się ironicznie.

— Ale ja pana nie chciałem obrazić, ja mówię tak, jak myślę — usprawiedliwiał się gorąco, dojrawszy ten uśmiech.

— Wierzę. Skoro zrobię klapę raz, to tylko dlatego, żeby drugi raz jej nie zrobić.

— Pan jesteś głowa, panie Borowiecki, pan mi się ogromnie podoba. My razem moglibyśmy robić dobre interesy.

— Cóż, kiedy musimy je robić osobno — zaśmiał się, kłaniając nisko jakimś damom przechodzącym.

— Ładne kobiety te Polki, ale mają. Moda też ładna.

— Bardzo ładna — powiedział poważnie, podnosząc na niego oczy.

— Ja mam myśl! Ja ją panu kiedy indziej powiem — zawołał tajemniczo. — Masz pan miejsce w teatrze?

— Mam krzesło, przysłali mi dwa tygodnie temu.

— Nas tylko troje będzie w łoży.

— Są i panie?

— One już w teatrze, a ja umyślnie zostałem, aby się widzieć z panem, no i na nic moje plany. Do widzenia, pan zajrzy do łoży?

— Z pewnością, będzie to dla mnie bardzo przyjemnym obowiązkiem.

Müller zniknął w drzwiach teatru, a on powrócił do restauracji. Nie zastał już Moryca, który przez garsona kazał powiedzieć, że czeka w teatrze.

W bufecie, gdzie poszedł napić się wódki, bo czuł się dziwnie zdenerwowanym, nie było prawie nikogo, prócz Bum-Buma, który przysłonięty gazetą drzemał w kącie.

— Bum, nie idziesz pan do teatru?

— Te, po co mi to. Bawełnę oglądać, przecież ich znam. Pan idzie?

— A zaraz.

Jakoż i wyszedł, odnalazł swoje miejsce w pierwszym rzędzie obok Moryca i Leona, który zawzięcie kłaniał się i lornetował jakieś blondynki, siedzące na pierwszym piętrze.

— Krasawica pierwszy sort, ta moja blondynka, patrz Moryc.

— Znasz ją bliżej?

— Czy ja ją znam bliżej? Ha, ha, ha, ja ją znam bardzo bliżej! Poznaj mnie z Borowieckim.

Moryc ich poznał zaraz.

Leon chciał coś mówić, już nawet klepnął w kolano Moryca, ale Borowiecki wstał i odwrócony twarzą do sali wypełnionej od góry do dołu najlepszą, na jaką tylko było stać Łódź publicznością, przyglądał się uważnie, co chwila kłaniając się to łóżom, to krzesłom, niesłuchanie dystyngowanym ruchem głowy.

Stał spokojnie pod ogniem lornetek i spojrzeń, jakie w niego uderzały ze wszystkich stron teatru, który wrzał niby ul świeżo obsadzonym rojem.

Jego wysoka, rozrośnięta, bardzo zgrabna postać rysowała się wykwintną sylwetką.

Piękna twarz, o bardzo typowym, wydelikaconym rysunku, ozdobiona prześlicznymi wąsami starannie utrzymywanymi i usta o spodniej war-dze silnie wysuniętej i pewna niedbałość w ruchach i spojrzeniach, czyniły go typem dżentelmena.

Nikt nie mógłby być z jego powierzchowności wykwintnej poznać, że ma przed sobą człowieka, który jako chemik fabryczny, jako kolorysta, był niezrównanym w swojej specjalności; człowieka, o którego toczyły się wojny pomiędzy fabrykami bawełnianymi, by go zdobyć dla siebie; był takim, który w tym dziale fabrykacji robił przewroty.

Szare, z niebieskawym odcieniem oczy, twarz sucha, brwi prawie ciemne, czoło twardo modelowane nadawały mu coś drapieżnego.

Czuć było w nim silną wolę i nieugiętość.

Patrzył dosyć wyniośle na teatr zalany światłem i na tę barwną, błyszczącą brylantami publiczność.

Łoże podobne było do żardinierek¹ wybitych wiśniowym aksamitem, na którego tle niby kwiaty siedziały strojne kobiety, skrzące się drogimi kamieniami.

— Karol, ile może być dzisiaj milionów w teatrze? — zapytał cicho Moryc.

— Będzie ze dwieście — odpowiedział tak samo, z wolna ogarniając znane twarze milionerów.

— Tu rzeczywiście pachnie milionami — wtrącił Leon, wciągając w siebie powietrze przesycone zapachem perfum, kwiatów świeżych i błota przyniesionego z ulicy.

— Cebulą i kartoflami przede wszystkim — szepnął pogardliwie Borowiecki i kłaniał się z bardzo słodkim uśmiechem do jednej z łóż parterowych, przy samej scenie, wspaniale pięknej Żydówce w czarnej jedwabnej sukni decolté, z której wychylały się olśniewające białością, przepysznie uformowane ramiona i szyja okręcona w sznur brylantów. Brylanty połyskiwały nad skroniami, w grzebykach upinających czarne puszyste włosy, zaczesane modą cesarstwa — na uszy, w których również skrzyły się brylanty zadziwiającej wielkości, brylanty lśniły się u gorsu, w agrafie spinającej stanik i połyskiwały w bransoletkach okręających ręce obciągnięte w czarne rękawiczki. Wielkie, podłużne oczy fiołkowe niby najwspanialsze szafiry paliły się ostro. Twarz miała o gorącym tonie lekko oliwkowym, przesyconym nieco karminem krwi, czoło niskie, brwi silnie zarysowane, nos prosty i cienki i dosyć duże, pełne usta.

Spoglądała z pewnym uporem na Borowieckiego, nie zważając, że ją lornetowano ze wszystkich łóż, czasami rzucała nieznaczące spojrzenia na siedzącego trochę w głębi łoży męża, starca o wybitnie semickim typie, który z opuszczoną głową na piersi, siedział zatopiony w rozmyślaniach, chwilami budził się, rzucał przenikliwe spojrzenia spod złotych okularów na salę, obciągał na wydatnym brzuchu kamizelkę i szeptał żonie:

— Lucy, czemu się ty tak wystawiasz?

¹ żardinierka (z fr.) — półka lub stolik z wgłębieniem na rośliny doniczkowe.

Udawala, że nie słyszy i przeglądała dalej łoże krzesła, zapchane publicznością o typach przeważnie semickich i germańskich, albo patrzyła w Borowieckiego, który chwilami odczuwał te spojrzenia, bo się odwracał do niej twarzą, ale stał zimny na pozór obojętny.

— Ładny kawałek kobiety z tej Zuckerowej — szepnęła Leon do Borowieckiego, bo chciał zacząć rozmowę, aby się dowiedzieć bliższych szczegółów o swojej agenturze.

— Uważasz pan?... — odpowiedział chłodno tamten.

— Ja bo widzę. Patrz pan, jej biust, ja to najlepiej lubię w kobiecie, a ona ma biust frontowy, jak aksamit, ha, ha, ha.

— Z czego się śmiesz? — pytał ciekawie Moryc.

— Zrobiłem pyszny witz — i powtarzał go Morycowi ze śmiechem.

Umilkli, bo kurtyna się podniosła, wszystkie oczy utonęły w scenie, tylko Zuckerowa zza wachlarza patrzyła w Karola, który zdawał się tego nie spostrzegać, co ją tak widocznie irytowało, że po kilka razy składała wachlarz i uderzała nim w parapet jakby od niechcenia.

Uśmiechał się nieznacznie, rzucał na nią krótkie spojrzenia i patrzył dalej z uwagą wielką na scenę, gdzie amatorzy i amatorki parodiowali prawdziwych aktorów i sztukę.

Było to bowiem przedstawienie na cel dobroczynny, złożone z dwóch komedijek, śpiewu solowego, gry na skrzypcach i fortepianie, i żywych obrazów na zakończenie.

W antrakcie Borowiecki wstał, aby iść do łoży Müllerów, zatrzymał go Kohn.

— Panie Borowiecki, ja chciałem z panem pomówić.

— Może po teatrze, bo, jak pan widzi, teraz nie mam czasu — szepnęła i poszedł.

— On jest wielki pan, teraz nie ma czasu.

— Ma rację, tutaj wcale nie miejsce do interesów.

— Moryc, tyś zgłupiał do reszty, co ty wygadujesz, dla interesów jest wszędzie miejsce, tylko ten von Borowiecki to wielki książę od Bucholca i Spółki, wielka osoba!

Borowiecki tymczasem wszedł do łoży Müllerów, stary wyszedł, aby mu zrobić miejsce, bo już tam na czwartego siedział jakiś niski, gruby Niemiec.

Przywitał się z matką, drzemiącą w głębi łoży i z córką, która podniosła się niemal na jego wejście.

— Störch.

— Borowiecki.

Skrzyżowały się nazwiska i dłonie.

Karol usiadł.

— Jak się pani bawi? — zapytał, aby coś powiedzieć.

— Doskonale, wybornie! — wykrzyknęła i jej okragła, różowa twarz, podobna do młodej rzodkiewki świeżo obmytej, rozbłysła silniejszymi rumieńcami, co tym mocniej odbijały przy jasnozielonej sukni.

Podniosła chusteczkę do twarzy, aby przysłonić rumieńce, bo się ich wstydziła.

Matka zarzuciła jej na ramiona wspaniały, koronkowy szal, bo przeciąg od drzwi otwartych przewiewał po teatrze i drzemała dalej.

— A pan? — zapytała po chwili, podnosząc na niego niebieskie, zupełnie porcelanowe oczy, o jasnych złotych obrzeżach rzęs i w tej chwili, z rozchyłonymi nieco, bladymi ustami dziecka, z twarzyczką podniesioną, podobną była do świeżo upieczonej bułki.

— Powiem to samo: wybornie, doskonale albo: doskonale, wybornie.

— Dobrze grają, prawda?

— Tak, po amatorsku. Myślałem, że pani weźmie udział w przedstawieniu.

— Ja bardzo pragnęłam, ale kiedy mnie nikt nie zaprosił — mówiła szczerze, z wielką przykrością.

— Projekt ten istniał, ale nie miano odwagi, bano się odmowy, zresztą do domu państwa wstęp tak trudny, jakby na dwór królewski.

— Ja, ja to samo mówił pannie Mada — wtrącił Störch.

— To pan winien, przecież pan bywa u nas, trzeba było mi powiedzieć.

— Nie miałem czasu i zapomniałem — tłumaczył się prosto.

Zapanowało milczenie.

Störch odkasływał, nachylał się już, aby zacząć rozmowę, ale cofał się, widząc, że Borowiecki znudzonym wzrokiem włóczy po teatrze, a Mada była jakaś pomieszana, bo chciała dużo mówić, a teraz, gdy ten Borowiecki siedzi obok niej, gdy łoże ze specjalnym zainteresowaniem lornetują ich, nie wie co mówić, wreszcie zaczęła.

- Pan będzie w naszej firmie?
- Niestety, musiałem ojcu pani odmówić.
- A papa tak liczył na pana.
- Ja sam bardzo żałuję.
- Myślałam, że we czwartek pan u nas będzie, bo mam pewną prośbę.
- Mogęż ją zaraz wysłuchać?

Pochylił głowę ku niej i spoglądał do łoży Zukerów.

Lucy wachlowała się gwałtownie i widocznie poza wachlarzem kłóciła się z mężem, który raz po raz obciągał kamizelkę na brzuchu i wyprostowywał się na krześle.

— Chciałam prosić, aby mi pan wskazał niektóre polskie książki do czytania. Mówiłam to już papie, ale powiedział mi, że jestem głupia i powinienam się zająć domem i gospodarstwem.

— Ja, ja¹. Fater tak powiedziała — szepnęła znowu Störch, cofając się nieco w tył z krzesłem, bo go Borowiecki uderzył oczami.

— Dlaczego pani chce tego, po co to pani? — zapytał dosyć twardo.

— A bo chcę — odparła rezolutnie — chcę i proszę o informację.

— Brat musi mieć przecież w tym nowym pałacyku i bibliotekę.

Zaśmiała się bardzo serdecznie i bardzo cichutko.

— Co pani widzi śmiesznego w moim przypuszczeniu?

— Ale, bo Wilhelm tak nie lubi książek, że kiedyś pogniewał się na mnie i gdy byłam z mamą w mieście, spalił mi wszystkie moje książki.

— Ja, ja Wilhelm nie lubi książek, on jest dobry bursz².

Borowiecki popatrzył zimno na Störcha i rzekł:

— Dobrze, przyślę pani jutro spis tytułów.

— A jeślibym ja pragnęła mieć ten spis zaraz, natychmiast.

— To natychmiast mogę kilka tytułów napisać, a resztę jutro.

— Pan jest dobry chłopak — powiedziała wesoło, ale ujrzawszy, że usta mu drgnęły uśmiechem ironii, rozczzerwieniła się jak piwonია.

Napisał na bilecie wizytowym, opatrzonym w herby, pożegnał się i wyszedł.

W korytarzu spotkał się ze starym Szają Mendelsohnem, prawdziwym królem bawelnianym, którego nazywano krótko — Szaja.

¹ Ja, ja (niem.) — tak, tak.

² bursz (z niem. *Bursche*) — chłopak, terminator w jakimś zawodzie.

Był to wysoki, chudy Żyd, o wielkiej białej, istic patriarchalnej brodzie, ubrany w długie, zwykły chałat, który mu się tłukł po piętach.

Szaja zawsze bywał tam, gdzie przypuszczał, iż będzie Bucholc, jego największy współzawodnik w królestwie bawelnianym, największy fabrykant łódzki i do tego osobisty nieprzyjaciół.

Zagroził drogę Borowieckiemu, który uchylając kapelusza, chciał przejść dalej.

— Witam pana. Nie ma dzisiaj Hermana, dlaczego? — zapytał ohydny polszczyzną.

— Nie wiem — odparł krótko, bo nie cierpiał Szai, jak go nie cierpiała cała nieżydowska Łódź.

— Żegnam pana — rzucił sucho i pogardliwie Szaja.

Borowiecki nic nie odpowiedział i poszedł na pierwsze piętro, do jednej z łóż, w której był cały bukiet kobiet, pomiędzy nimi zastał Moryca i Horna.

W łóż było nadzwyczaj wesoło i bardzo ciasno.

— Nasza mała ślicznie gra, prawda panie Borowiecki?

— Tak i bardzo żałuję, że nie zaopatrzyłem się w bukiet.

— My go mamy, podadzą jej po drugiej sztuce.

— Że jest ciasno beze mnie i wesoło beze mnie, że panie mają już asystę — wychodzę.

— Zostań pan z nami, będzie jeszcze weselej — prosiła go jedna z kobiet, w liliowej sukni, z liliową twarzą i z liliowymi oczami.

— Weselej to pewnie nie, ale że ciaśniej, to z pewnością — zawołał Moryc.

— To wyjdź, będzie zaraz więcej miejsca.

— Żebym mógł iść do łóż Müllerów, tobym wyszedł.

— Mogę ci to ułatwić.

— Ja wychodzę i zaraz zrobi się więcej miejsca — zawołał Horn, ale pochwyciwszy proszące spojrzenie młodej dziewczyny, siedzącej na froncie łóż, pozostał.

— Wie pani, panno Mario, ile się taksuje panna Müller? Pięćdziesiąt tysięcy rubli rocznie!

— Mocna panna! Ja bym się puścił na ten interes — szepnął Moryc.

— Przysuń się pan bliżej, to coś opowiem — szepnęła liliowa i pochyliła nisko głowę, tak, że jej ciemne, puszyste włosy, dotykały skroni nachy-

lonego do niej Borowieckiego. Zasłoniła się wachlarzem i szeptała mu długo do ucha.

— Nie spiskujcie! — zawołała najstarsza w łoży, zupełnie w stylu barocco, piękna, czterdziestokilkuletnia kobieta, o cerze olśniewającej, siwych zupełnie włosach, nadzwyczaj obfitych, czarnych oczach i brwiach, i o majestatycznej, imponującej postaci, która przewodniczyła całej łoży.

— Pani Stefania opowiadała mi ciekawe szczegóły o tej nowej baronowej.

— No, nie powtórzyłaby tego przy wszystkich — szepnęła barokowa.

— Panna Mada Müller raczy nas lornetować, o!

— Wygląda dzisiaj jak młoda, tłusciutka, oskubana z piórek gęś, okręcona w nać z pietruszki.

— Pani Stefania udaje dzisiaj złośliwą — szepnął Horn.

— Albo tamta, Szajówna, cały magazyn jubilerski ma na sobie.

— Przecież stać ją nawet na dwa sklepy jubilerskie — wtrącił Moryc, wpakował binokle na nos i patrzył na dół, w łożę Mendelsohnów, gdzie siedziała z ojcem jego najmłodsza córka ubrana z niesłychanym przepychem z jakąś drugą panną.

— Któraż kulawa?

— Róża, ta po lewej stronie, ruda.

— Wczoraj była u mnie w sklepie, przerzuciła wszystko, nic nie kupiła i poszła, ale miałam czas się jej przyjrzeć, jest zupełnie brzydka — mówiła pani Stefania.

— Ona jest prześliczną, ona jest anioł, co to anioł, ona jest cztery albo piętnaście aniołów — wykrzykiwał Moryc, przedrzeźniając starego Szaję.

— Do widzenia paniom, chodź Moryc, pan Horn zostanie przy paniach.

— Może panowie przyjdą do nas na herbatę po teatrze? — prosiła wszystkich liliowa, patrząc na Borowieckiego.

— Dziękuję bardzo, ale przyjdę jutro, dzisiaj nie mogę.

— Czy jesteś pan zamówiony do Müllerów? — szepnęła trochę cierpko.

— Do Grand Hotelu. Dzisiaj sobota, przyjeżdża Kurowski, jak zwykle, a ja mam z nim do obgadania niesłychanie ważne rzeczy.

— To załatw się z nim pan w teatrze, musi przecież być.

— On przecież nie bywa w teatrze, nie zna go pani?

Uklonił się i wyszedł, przeprowadzony dziwnym spojrzeniem pani Stefanii.

Akt dosyć dawno się już ciągnął, więc przesuwał się do swojego miejsca i siadł, ale nie słuchał, bo naokoło szeptano coś nader tajemniczo.

Zdziwił wszystkich fakt, że w czasie sztuki wywołano z łoży Knolla, zięcia Bucholca, który siedział samotnie w łoży, na wprost Zuckerów, a potem, że wyniósł się z teatru cichaczem Groszlik, największy bankier łódzki.

Przynieśli mu depeszę, z którą polecał do Szai.

Szczegóły te, podawane sobie szeptem, obleciały niby błyskawica teatru i wzbudziły jakiś ciemny, niewytłumaczony niepokój w przedstawicielach różnych firm.

— Co się stało? — zapytywano, nie znajdując odpowiedzi na razie.

Kobiety słuchały sztuki, ale większość mężczyzn z parteru i z łóż przyglądała się z niepokojem królom i królikom łódzkim.

Mendelsohn siedział zgarbiony, z okularami na czole, gładził chwilami brodę wspaniałym ruchem i szczerze zdawał się być pochłonięty przedstawieniem.

Knoll, wszechpotężny Knoll, zięć i następca Bucholca także słuchał z uwagą.

Müller istotnie musiał nie wiedzieć o niczym, bo śmiał się na całe gardło z dowcipów mówionych na scenie, śmiał się tak szczerze, że chwilami Mada szeptała cicho:

— Papo, tak nie można.

— Zapłaciłem, to się bawię — rzucał jej w odpowiedzi i istotnie bawił się zupełnie.

Zucker zniknął, w łoży siedziała samotnie Lucy i znowu patrzyła na Borowieckiego.

Mniejsi potentaci i przedstawiciele takich firm jak: Ende-Griszpan, Wolkman, Bauvecel Fitze, Biberstein, Pinczowski, Prusak, Stojowski, kręcili się na swoich miejscach coraz niespokojniej, szepty przelatywały z końca w koniec teatru, co chwila ktoś się wysuwał i nie powracał.

Oczy badały naokoło, na ustach tkwiły zapytania, niepokój wszystkimi owładął coraz silniejszy.

A nikt nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego, chociaż wszyscy byli pewni, że się coś stało ważnego.

Z wolna to zdenerwowanie udzielało się tym nawet, którzy nie obawiali się żadnych złych wieści.

Wszyscy poczuli to drżenie łódzkiego gruntu, tak często w ostatnich czasach nawiedzanego kataklizmem.

Tylko góra, tanie miejsca, nic nie odczuwała, bawiła się wciąż wybor-
nie, wybuchała śmiechem, biła oklaski, wołała brawo.

Śmiech jakby falą buchał z drugiego piętra i rozpryskiwał się kaskadą
dźwięków na parter i łóże, na te wszystkie głowy i dusze tak nagle zanie-
pokojone, na te miliony, rozpostarte na aksamicie, ubrylantowane, pysz-
ne swą władzą i wielkością.

Ze wszystkich łóż tylko łóża znajomych Borowieckiego pań, brała udział
w zabawie i bawiła się doskonale.

Potworzyły się pewne rafy na tym ruchomym morzu, które siedziały
spokojnie, wpatrzone w scenę; były to rodziny przeważnie polskie, któ-
rych nic nie mogło zaniepokoić, bo nic nie miały do stracenia.

— To bawelna — szepnął Leon do Borowieckiego. — Patrz pan, wełna
i inni siedzą prawie spokojnie, są tylko ciekawi. Ja się na tym znam.

— Frumkin w Białymstoku, Lichaczew w Rostowie, Alpasow w Odessie
— kłapa! — szepnął Moryc, który skądś dowiedział się tego.

Wszyscy trzej byli to kupcy *en gros*¹, jedni z największych odbiorców
łódzkich.

— Na ile Łódź zaangażowana? — pytał Borowiecki.

Moryc znowu wyszedł i powrócił po kilku minutach, był znacznie bled-
szy, usta miał skrzywione, oczy świeciły dziwnie; nie mógł ze wzruszenia
trafić z binoklami na nos.

— Jest jeszcze jeden. Rogopuło w Odessie. Murowane firmy, same
murowane!

— Wysoko leżą?

— Łódź traci ze dwa miliony! — szepnął bardzo poważnie i usiłował
włożyć binokle.

— Nie może być — wykrzyknął prawie głośno Borowiecki, zrywając się
z miejsca, aż publiczność siedząca za nim, zaczęła stukać i sykać, żeby nie
zasłaniał sceny sobą. — Kto ci powiedział?

¹ *en gros* (fr.) — tu: na wielką skalę.

- Landau, a jak Landau mówi, to Landau wie.
- Kto traci?
- Wszyscy po trochu, a Kessler, Bucholc, Müller najwięcej.
- Ale żeby ich nie podeprzeć, pozwolić na taką kłapę.
- Rogopuło uciekł, Lichaczew umarł, zapił się z rozpacz.
- A Frumkin i Alpasów?
- Nic nie wiem, mówiłem tyle, co było w depeszy.

Już teraz te wszystkie wieści rozlały się po teatrze, wszyscy wiedzieli o klęsce.

Co chwila widać było, jak ta wiadomość niby bomba wybucha w innej stronie teatru.

Twarze podnosiły się w górę, oczy błyskały, słowa jakieś ostre dźwięczały w powietrzu, krzesła się podnosiły z trzaskiem, wybiegali z pośpiechem do telegrafu i telefonów.

Teatr bardzo opustoszał.

Borowiecki czuł się także zdenerwowanym tą wieścią, sam nic nie tracił, ale tracili wszyscy naokoło niego.

— Wy nic nie tracicie? — zapytał się Maksa Bauma, który znalazłszy miejsce wolne, przysiadł się bliżej niego.

— My nie mamy nic do stracenia prócz honoru, a przecież tym towarem w Łodzi się nie operuje — odpowiedział drwiąco.

— Ładnie Łódź trzeszczy.

— Nastanie ciepły sezon.

— Tak, tak. Straż ogniowa będzie mieć robotę.

— Zrobi się cieplej, to prędzej wiosna będzie.

— Warto by, węgle takie drogie.

— Pan się śmieje zdrów, bo to pana nic nie kosztuje, taka zabawa.

— Bywało tak, bywało. Połowa skręci kark, a druga połowa zarobi.

— Kto najlepiej leży?

— Bucholc, Kessler, Müller.

— Tym się nigdy nic nie stanie, co im kto robi.

— Niech ich wszystkich diabli wezmą, co mi to szkodzi, co ja na tym zarobię, że oni mają, albo nie mają.

Tak się krzyżowały uwagi, zapytania, cyfry, spojrzenia prawie wesołe i zadowolone z ruiny innych, przypuszczenia i drwiny.

— Mayer podobno na całe sto tysięcy rubli zaangażowany?
— To mu dobrze zrobi na brzuch, sprzeda konie, będzie chodził pieszo i zaraz schudnie, nie będzie potrzebował już jeździć do Marienbadu.
— Będą tanio do sprzedania różne rodzinne brylanty.
— Wolkmana może to dobić, on już szedł na pół pary.
— Możesz Robert teraz prosić o rękę jego córki, już cię nie wyrzucą za drzwi.

— Niech jeszcze poczeka.

Tak wrzał parter, tłum.

Królowie siedzieli spokojnie.

Szaja nie spuszczał oczów ze śpiewaczki i jak skończyła, pierwszy zaczął bić brawo, a potem szeptał po cichu z Różą i nieznacznie, gładząc brodę, wskazywał na Knolla, który oparty łokciami o parapet łoża, skinął głową na Borowieckiego.

Karol zaraz w pierwszym antrakcie zjawił się u niego.

— Słyszałeś pan?

— Słyszałem — i zaczął wyliczać firmy.

— Głupstwo.

— Głupstwo, dwa miliony rubli na samą Łódź?

— Nie my tracimy; przed chwilą był Bauer i mówił, że jakieś kilkanaście tysięcy.

— W teatrze mówią, że z pół miliona.

— To Szaja tak rozpuszcza pogłoskę, bo on tyle traci. Głupi Żyd.

— W każdym razie odbije się to na Łodzi porządnie, firmy będą lecieć jak muchy.

— Niech zdechną wszyscy, co to nam szkodzi — szeptał zimno i przyglądał się swoim rękoma starannie utrzymanym i gonił bezwiednie przy-mrużonymi oczyma za połyskiem brylantów osadzonych w pierścionku lewej ręki.

— Ja do pana mówię nie jak do naszego człowieka, a jak do przyjaciela. Pan wie, kto musi paść z powodu tego krachu?

— Na pewno nie wymieniają nikogo prawie.

— Mniejsza z tym, zawsze padnie dosyć, a ilu, to zobaczymy jutro, będzie wesoła niedziela.

— Prawdziwe nieszczęście.

— Dla naszej firmy nie, bo pomyśl pan, kto pada — bawełna. Kto pozostaje — my, Szaja i paru innych. Ta parszywa, żydowska, tandetna konkurencja zdechła w połowie, albo zaraz zdechnie, struli się sami. Na jakiś czas będzie nam luźniej. Będziemy robili parę nowych gatunków, które oni robili, no, i będziemy o tyle więcej sprzedawali. Ale to jest bagatelka, kręć karki, niech kręć; palą się, niech się palą; oszukują, niech oszukują; my zawsze zostaniemy. To zresztą mało ważne rzeczy, są znacznie ważniejsze, zobaczysz pan niedługo, że połowa fabryk bawełnianych stanie, niedługo, niedługo.

Borowiecki patrzył się na niego i słuchał z pewną niecierpliwością, nie lubił Knolla i jego dumy szalonej, płynącej z poczucia swoich milionów.

Był największym po teściu dorobkiewiczem, w tym świecie dorobkiewiczów najwykształceńszymi¹, dobrze wychowanym, przyjemnym w obcowaniu, ale i najbardziej nieubłagany i najbardziej wyzyskującym pracę, ludzi i wpływy, jakie miał wszędzie.

— Przyjdź pan jutro do nas na obiad, proszę pana w ojca imieniu. A teraz będzie pan łaskaw zobaczyć, która godzina, ja tego nie mogę zrobić aby nie myśłano, że mi się gdzie spieszy.

— Za kilka minut jedenasta.

— O której odchodzi kurierski do Warszawy?

— Wpół do pierwszej.

— Mam jeszcze czas. Muszę panu powiedzieć, dlaczego dla mnie te wiadomości o bankructwach, o tym, że Łódź traci dwa miliony, są mało ważne; przysły bowiem wiadomości znacznie ważniejsze... — urwał nagle.

— Ja mówię do szlachcica?

— Zdaje mi się, ale nie rozumiem związku...

— Zaraz pan zrozumiesz. Pan jest naszym przyjacielem, my panu nigdy nie zapomnimy tego, że pan podniósł naszą drukarnię. — Widzi pan przed godziną donieśli depeszę z Petersburga o bardzo ważnej sprawie, o tym, że... że ja muszę tam jechać zaraz, ale w zupełnej tajemnicy.

Dokończył spieszenie i nie powiedział tego, co chciał powiedzieć, powstrzymał go wzrok Borowieckiego zimny i podejrzliwy, który go przewiercał tak na wskroś, że Knoll poruszył się niespokojnie, poprawił szpilkę w krawacie i popatrzył na łożę naprzeciwko.

¹ najwykształceńszymi — dziś poprawnie: najbardziej wykształconym.

- Ta Zukerowa to śliczna kobieta.
- Ma ładne brylanty.
- Więc pan jutro przyjdzie do starego?
- Ależ z pewnością.

— Ma on tam jakiś specjalny interes. Pan już wychodzi, to poproszę o jedno, może pan zechce powiedzieć mojemu stangretowi, żeby czekał na mnie na Przejazd. No, do widzenia, za kilka dni będę. Więc tajemnica, panie Borowiecki.

- Najzupełniejsza.

Borowiecki wyszedł z uczuciem zawodu. Czuł, że Knoll nie powiedział mu wszystkiego.

— Co to za wiadomość? Po co on jedzie? Dlaczego mi nie powiedział? — myślał, ale na próżno, gubił się w domysłach i przypuszczeniach.

Nie czekał zapadnięcia kurtyny i wyszedł, ale już z ulicy powrócił do teatru i poszedł do łoży Zukerowej.

— Myślałam, że pan o mnie zapomniał — powiedziała z wyrzutem, utkwivszy w nim swoje ogromne, cudne oczy.

- Czy to możebne?
- Dla pana jest wszystko możebnym.
- Potępia mnie pani, na wiarę przyjaciół i nieprzyjaciół.
- Co mnie to obchodzi, widziałam tylko, że pan wyszedł.
- Ale powróciłem, musiałem powrócić — szepnął ciszej.
- Do teatru, zapomniał pan czego.
- Do pani.
- Tak?! — szepnęła długo i oczy jej zamigotały blaskiem radości.
- Pan tak do mnie nigdy nie mówił.
- Ale dawno tego pragnąłem.

Ogarnęła spojrzeniem caującym jego twarz, aż poczuł coś jakby powiew ciepły na ustach.

- Pan mówił o mnie tam w krzesłach z panem Weltem, czułam to.
- Mówiliśmy o pani brylantach.
- Prawda, że tak pięknych żadna nie ma w Łodzi?
- Prócz Knollowej i Baronowej — powiedział złośliwie, uśmiechając się.
- I o czym jeszcze mówiliście?
- O pani piękności!

— Pan ze mnie żartuje.

— Nie mogę żartować z tego, co kocham — powiedział przytłumionym głosem, ujmując zwieszoną rękę, wyrwała mu ją szybko i patrzyła rozszereżonymi oczami, oglądając się dookoła, jakby te słowa powiedziano na sali.

— Żegnam panią — mówił powstając, był zły na siebie, czuł, że popełnił głupstwo, że jej to tak prosto bez przygotowań wielkich powiedział, ale działała na niego narkotycznie.

— Wyjdziemy razem, zaraz — powiedziała prędko, pozbierała szal, cukierki z pudełkiem, wachlarz i wyszła.

Ubierała się w milczeniu.

Borowiecki nie wiedział, co mówić, patrzył tylko na nią, na jej oczy zmieniające co chwila wyraz, na cudnie zarysowane ramiona, na usta, które ustawicznie oblizywała, na wspaniałą, doskonale rozwiniętą figurę.

Gdy włożyła kapelusz, podał jej rotundę¹. Pochyliła się nieco w tył, aby ją wziąć na ramiona i w tym ruchu dotknęła włosami jego ust, odsunął się nieco w tył, jakby sparzony, a ona nie znajdując oparcia, upadła mu plecami na piersi.

Pochwycił ją szybko w ramiona i wpił się ustami w jej kark, który się naprężył i skurczył pod pożerającym pocałunkiem.

Krzyknęła cicho i wparła się w niego całą siłą na mgnienie, aż się zachwiał pod jej ciężarem.

Wyrwała mu się szybko z objąć.

Była bladą jak marmur, dyszała ciężko, a spod przymkniętych powiek buchały płomienie.

— Odprowadzi mnie pan do powozu — powiedziała, nie patrząc na niego.

— Chociażby na koniec świata.

— Zapnij mi pan rękawiczki.

Zapinał, ale nie mógł znaleźć ani dziurek, ani guziczków, tak jak nie mógł znaleźć jej spojrzenia, bo nie patrzyła na niego; oparła się jednym ramieniem o ścianę, odwróciła nieco głowę i tak stała z ręką w jego rękę, z dziwnym uśmiechem na ustach, które promieniowały karminem; czasem wstrząsnął nią dreszcz, wtedy silniej przycisnęła się do ściany i jakiś cień jakby przerażenia migotał po jej twarzy i taił się w kątach ust.

¹ *rotunda* — obszerny płaszcz damski, skrojony w kształt koła.

— Chodźmy — szepnął, skończywszy zapinanie.

Doprowadził ją do powozu, wsadził, a ujmując jej rękę i całując gorąco, szepnął:

— Niech mi pani przebaczy, błagam na wszystko.

Nic nie odpowiedziała, tylko tak silnie pociągnęła go do wnętrza, że wskoczył bez namysłu, zatrzasnął drzwi za sobą.

Konie ruszyły z kopyta.

Borowiecki czuł się zdenerwowanym do najwyższego stopnia tym, co się stało. Nie miał jeszcze czasu zdać sobie sprawy dokładnie, nie umiał zresztą teraz w tej chwili myśleć, wiedział tylko, że ona jest przy nim, siedziała wciśnięta w kąt powozu, daleko od niego. Słyszał jej nierówny, szybki oddech, a chwilami w świetle latarni ulicznych błyskała mu jej twarz i oczy ogromne, wpatrzone w jakąś próżnię.

Chciał zapanować nad sobą, chciał już zastukać na stangreta, szukał już bezwiednie antaby¹, aby drzwi otworzyć i wprost uciec, ale nie miał sił już, ani woli.

— Pani mi przebaczy, to co się stało? — zaczął wolno i szukał jej rąk, schowała je głęboko pod rotundę.

Nie odpowiedziała nic, obcisnęła się szczelnie w rotundę, jakby chcąc zamknąć w sobie, przytrzymać tę szaloną chęć rzucenia mu się w ramiona.

— Pani mi przebaczy — powtórzył ciszej, przysuwając się do niej.

Drżał cały, nie mógł więcej mówić i nie otrzymując odpowiedzi, szepnął bardzo cicho i bardzo głęboko.

— Lucy! Lucy!

Wstrząsnęła się, puściła rotundę, która zsuwała się z jej ramion i z jakimś głębokim, przejmującym okrzykiem rzuciła mu się na piersi.

— Kocham cię, kocham! — szeptała, obejmując go namiętnie.

Usta się ich zbiegły w długim, śmiertelnie mocnym pocałunku.

— Kocham cię, kocham! — powtarzała z lubością ten dźwięk słodki, całując jego twarz z porywającą siłą.

¹ *antaba* (z niem. *Handhabe*: rękojeść) — dzierzak; metalowy uchwyt na kufrze, drzwiach, bramie, złożony z dwóch części, jednej stanowiącej umocowanie i drugiej (często ruchomej) służącej do chwytania; antaby na drzwiach stanowiły zarazem kołatkę.

Czuła głód pocałunków, pieszczot i miłości tak dawno, więc teraz, kiedy się już tak stało, nie myślała o niczym, nie pamiętała na nic, tylko całowała.

— Nie, nie mów teraz nic, nie mów. Chcę mówić sama, chcę wołać wciąż. Kocham cię! Mogę to powtarzać wobec całego świata, wszystko mi już jedno. Ja wiem, że cię inne kochają, wiem, że masz narzeczoną, ale co mnie to obchodzi! Kocham cię! Kocham nie dlatego, żebyś i ty mnie kochał, żebym chciała przez to szczęścia, nie dla tego — ja cię kocham, kocham i nic więcej. Potrzebowałam kochać, jak każdy człowiek potrzebuje miłości. Pan jesteś dla mnie wszystkim. Chcesz, uklęknę przed tobą i będę ci to mówić tak długo, tak szczerze, aż uwierzysz i sam kochać mnie zaczniesz. Już nie mogę udawać, już nie mogę żyć bez ciebie i bez miłości. Kocham cię, mój jedyny, mój panie.

Mówiła bezładnie, prędko, nieprzytomnie. Okryła się w rotundę, to znowu ją opuszczała, odsuwała się od niego, to bez słów, promieniejąca, obejmowała go, cisnęła się do niego, całowała.

Borowiecki porwany tym szalonym wybuchem namiętności, oczarowany miłością tak wielką i tak ognistą, głosem, co przenikał ogniem i pocałunkami, które go — bo onieprzytomniały prawie, dał się unieść temperamentowi swojemu i szalał jak i ona.

Oddawał jej tak pocałunki, że mu chwilami zwiśla na rękach jak martwa.

— Kocham cię, Lucy, kocham! — powtarzał, nie wiedząc sam, co mówi.

— Nie mów nic, całuj mnie!

— Nie mów nic, całuj mnie — wołała w najwyższym uniesieniu.

Głos jej rwał się i wybuchał burzą, to znowu lkał, jakby całą miłością wschodu, jakby całą ognistą pieśń nad pieśniami wypiewywał.

— Ja tak marzyłam o tej chwili, tyle miesięcy pragnęłam cię, tyle lat czekałam na to, tyle cierpiałam przez to. Całuj mnie! Mocniej... mocniej... mocniej... A teraz umarłabym chętnie — wykrzyknęła dziko.

Powóz toczył się wolno po jednej ze strasznie błotnistych i niebrukowanych ulic, gdzie nie było nawet latarni, tylko powozowe światła rozkręcały złoty blask na ruchomą, płynną, a głęboką warstwę błota, rozpryskującą się aż na szyby.

Nikt nie przechodził, ani nie przejeżdżał tą ulicą, obwiedzioną z obu stron wysokimi parkanami, spoza których wznosiły się sterty drzewa budulcowego ułożone w wielkie czworoboki, albo wystrzelał komin fabryczki jakiejś, których w tej stronie miasta było dosyć.

Wielkie psy, pilnujące składów, czekały ponuro na powóz i słyhać było jak się rzucały na bramy i drapały pazurami deski z wściekłości, nie mogąc się wydobyć na ulicę.

Nie wiedzieli nic i nic nie słyszeli, zatopieni w fali tej miłości naglej i oślepiającej, jaka ich porwała.

— Lucy!

— Pocałuj mnie.

— Kochasz?

— Pocałuj mnie.

Rwały się im tylko takie słowa z piersi przepelnionych przerażającym ogniem.

— Weź mnie Karol, weź mnie całą i na zawsze.

Nie wiedzieli nawet, kiedy stanęli na miejscu.

Zajechali przed pałacyk Zuckerów, stojący w okolicy miejskiego lasu.

— Chodź do mnie — szepnęła, trzymając go silnie za rękę.

Bezwiednie, z przyzwyczajenia wsunął drugą rękę do kieszeni, gdzie miał rewolwer.

— Niech August zaczeka na pana — zawołała grzmiąco do stangreta.

— Chodź, nie ma nikogo, on — mówiła z naciskiem — pojechał. Nikogo prócz służby nie ma w domu.

Puściła jego rękę, bo służba otwierała drzwi.

— Zapalić światło w saloniku wschodnim. Podawać zaraz herbatę.

Rzuciła mu się na szyję, skoro lokaj oddalił się, ucałowała go namiętnie i popchnęła w jakiś korytarzyk wysłany dywanem i wybity czerwono.

— Zaraz przyjdę, kocham cię! — zawołała za nim i zniknęła.

Rozebrał się wolno, rewolwer przełożył do kieszeni surduta i wszedł w jakieś drzwi, które się przed nim otworzyły do słabo oświetlonego saloniku.

Biały dywan ze skór baranów, nadzwyczaj puszysty, tłumil zupełnie kroki.

— Ależ to zupełnie romantyczna awantura! — szepnął, padając na jakiś zydel perski bez poręczy, inkrustowany w hebanie złotem i srebrem, bo czuł się strasznie znużonym.

— Ciekawa kobieta, ciekawa scena — myślał i zaczął się rozglądać po pokoju.

Buduar był urządzony z takim przepychem, że nawet w mieście pełnym najwspanialszych mieszkań, takim jak Łódź, mógł jeszcze wyrwać okrzyk zdziwienia.

Ściany były obciążone w żółty, o gorącym tonie jedwab, po którym rozrzucone bardzo artystycznie gałęzie bzów czerwono-fioletowych, nakładanych grubym haftem.

Przez całą długość jednej ściany stała wielka i szeroka sofa, pod baldachimem żółtym w zielone pasy, udrapowanym w formie namiotu i podtrzymywanym przez złote halabardy.

U szczytu, pod namiotem, lampa ze szkieł żółtych, rubinowych i zielonych rozrzucała dziwnie omdlewające światło.

— Handelesy — szepnął z jakąś zawistną nieomal pogardą, zirytowany tym przepychem, ale pomimo to rozglądał się ciekawie; dziwaczne, kosztowne sprzęty o formach wschodnio-japońskich były bezładnie nagromadzone i stosunkowo do wielkości pokoju w nadmiernej ilości.

Stosy poduszek jedwabnych o jaskrawych barwach chińskich leżały porozrzucone po sofie i białym dywanie odcinały się ostrymi plamami jakby farb porozlewanych.

Zapach ambry i violettes de Perse, pomieszany z różami, rozwłóczył się po pokoju.

Na jednej ze ścian błyszczała masa broni wschodnich, bardzo kosztownych, ułożona dookoła wielkiej, okrągłej tarczy saraceńskiej, stalowej, nabijanej złotem i tak wypolerowanej, że w tym świetle przyćmionym skrzyła się i promieniowała złotymi ozdobami i rzędami rubinów i bladych ametystów, jakimi obrzeże jej było wysadzone.

W jednym rogu, na tle olbrzymiego wachlarza z pawich piór, stał cały wyłocony posążek Buddy, z podwiniętymi nogami, w postawie kontemplacyjnej.

W drugim rogu stała wielka żardinierka japońska z brązu, podtrzymywana przez złote smoki, pełna kwitnących, białych jak śnieg azalii.

— Pocięjów milionerski — myślał znowu Borowiecki, który posiadał nadzwyczaj wyrobiony smak artystyczny i poczucie piękna, rozwinięte jeszcze do stopnia doskonałości specjalnymi studiami nad harmonią barw.

— Jaśnie pani prosi pana dyrektora — szepnął z ukłonem stary, wygolony lokaj, odsłaniając ciężką portierę z żółtego aksamitu, pokrytą malowanymi chryzantemami.

— A Józef jest tutaj? — zapytał Borowiecki idąc, bo znał go z innego domu.

— Puściłem w licytację tamtych Żydów — szepnęła cicho, zginając się przed nim.

Karol uśmiechnął się tylko i poszedł do jadalnego.

Lucy nie było jeszcze.

Usłyszał tylko przytłumiony murami krzykliwy jakiś głos z dalszych pokoiów.

— Co to? — zapytał bezwiednie Borowiecki, nasłuchując.

— Jaśnie pani rozmawia z pokojówką — objaśniał Józef, ale z takim zimno-pogardliwym wyrazem twarzy, że Borowiecki zwrócił na to uwagę i nie już nie pytał więcej.

Lokaj wyszedł, a on rzucił po jadalni oczami: była umeblowana z bałnym łódzkim przepychem; boazerie z dębu do połowy ścian, kredensy w bretońskim stylu z ciemnego orzecha, z masą sreber i porcelany na półkach, staroniemieckie dębowe i wspaniałe rzeźbione zydle dokoła olbrzymiego stołu, oświetlonego żyrandolem w formie bukietu tulipanów, w którym jaśniała elektryczność.

Część jedna stołu była przygotowaną do herbaty.

Usiadł, bo go zaczęło niecierpliwie oczekiwanie i zobaczył, że przy stole na ziemi leży jakiś papier, podniósł go, aby położyć i prawie machinalnie rzucił na niego okiem.

Był to telegram, pisany kluczem firmy Bucholca, który się używał w rachach nadzwyczajnej ważności.

Borowiecki znał ten klucz i zdziwił się niepomierne.

— Co tu robi ten telegram?

Odwrócił blankiet, adres był: „Bucholc — Łódź”.

Więc się już dalej nie krępował tylko czytał:

Dzisiaj zapadło postanowienie na radzie. Cło od bawełny amerykańskiej sprowadzanej na Hamburg i Triest — podniesiono do 25 kopiejek w złocie od puda. Wprowadzenie za dwa tygodnie. Taryfy kolejowe przewóz bawełny od granic zachodnich do 20 kop. od puda i wiorsty.

Wykonanie za miesiąc. Za tydzień będzie ogłoszone.

Borowiecki depeszę schował do kieszeni i zerwał się z krzesła poruszony nadzwyczaj.